

PORADNIK

JĘZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1974

2

(316)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:
prof. dr Witold Doroszewski
Zastępca redaktora: prof. dr Mieczysław Szymczak

KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, doc. dr Hubert Górniewicz (Gdańsk), prof. dr Halina Kurkowska,
dr Zofia Mianowska, prof. dr Leszek Moszyński (Gdańsk), doc. dr Wanda Pomianow-
ska, prof. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław
Stieber, mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)
Sekretarz Redakcji:
mgr Magdalena Foland

TREŚĆ NUMERU

<i>Witold Doroszewski</i> : Fragmenty przemówienia w dniu otwarcia VII Międzynarodowego Kongresu Słowistów w Warszawie 21.VIII.1973	49
<i>Richard A. Hudson</i> : Systemowa gramatyka generatywna, II. Forma gramatyki systemowej (Tłum. <i>Monika Thieme</i>)	53
<i>Eugeniusz Moško</i> : O nazwie <i>Pszczewo</i>	61
<i>Stanisława Sochacka</i> : Starania Lucjana Malinowskiego o katedrę filologii słowiańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w świetle jego listów	66
<i>Mieczysław Smogorzewski</i> : Linde nie tylko Słownik stworzył	75

JĘZYK POLSKI ZA GRANICĄ

<i>Danuta Buttler</i> : Z zagadnień metodycznych początkowego kursu polszczyzny jako języka obcego, I. „Zaplecze teoretyczne” nauczania języka polskiego	79
--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	----

RECENZJE

<i>Zofia Stamirowska</i> : Hubert Górniewicz — Dialekt malborski, t. III. Słownik	85
<i>Franciszek Sowa</i> : Józef Bubak — Spiskie teksty gwarowe z obszaru Polski	90
POŁÓW PEREŁEK — <i>Ob. Serwator</i>	92

UZUPEŁNIENIA — UWAGI — SPOSTRZEŻENIA

<i>Eugeniusz Słuszkiewicz</i> : Co to jest <i>malcha</i> ?	93
— O tzw. czeskim błędzie	94

CO PISZĄ O JĘZYKU? — A.S.	95
-----------------------------------	----

OBJASNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W.D.	101
----------------------------------------------	-----

„Poradnik Językowy” jest wydawany z dotacji Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki i polecony jako pismo, które powinno się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej (komunikat nr 142/PR4-552-29/68/ ogłoszony w Dzienniku Urzędowym MOiSW z dnia 31.XII.1968 r.).

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe: 00-251 Warszawa, ul. Miodowa 10
Redakcja: 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31 w. 90

Nakład 2740 (2578+162). Ark. wyd. 4,5. Ark. druk. 3,5. Papier druk. sat. kl. V, 70 g 70×100.
Oddano do składu 28.XII. 73 r. Podpisano do druku w lutym 1974. Druk ukończono w lutym.
Zam. 1823/73 W-99 Cena zł 6.—

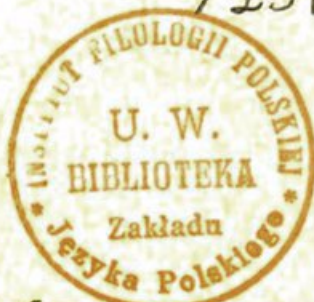
Drukarnia im. Rewolucji Październikowej — Warszawa

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK ZAŁOŻONY W R. 1901 PRZEZ ROMANA ZAWILIŃSKIEGO

ORGAN TOWARZYSTWA KULTURY JĘZYKA

029/
1974.-2



Witold Doroszewski

FRAGMENTY PRZEMÓWIENIA W DNIU OTWARCIA VII MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU SŁAWISTÓW W WARSZAWIE 21.VIII.1973

Nas, gospodarzy VII Międzynarodowego Kongresu Sławistów, cieszy a zarazem przejmuje pewną obawą perspektywa spędzenia tygodnia w gronie sławistów na obradach poświęconych zagadnieniom naukowym w bardzo rozległej skali. C i e s z y, bo będzie to tydzień spotkań i rozmów z kolegami i przyjaciółmi na tematy wszystkich nas interesujące, wszystkim nam bliskie. Przejmuje obawą, bo my ponosimy odpowiedzialność za funkcjonowanie zjazdowego mechanizmu i nas by obciążały wszelkie usterki w jego funkcjonowaniu. Mamy nadzieję, że gdyby takie usterki były — a nie zawsze się da ich uniknąć — uczestnicy Kongresu — bracia w sławistyce — zechcieliby nam je darować, czyli wybaczyć.

Jednym z najważniejszych postulatów, które powinny być realizowane w pracy naukowej, jest postulat hierarchizowania opracowywanych zagadnień według stopnia ich ważności. Celem nauki jest poznawanie rzeczywistości, które jest jednocześnie rozszerzaniem zakresu możliwego działania. Często przypominają mi się słowa przysięgi doktorskiej, którą składałem w Uniwersytecie Warszawskim równo 50 lat temu w roku 1923. W tekście tej przysięgi znanym każdemu, kto się doktoryzował, mowa jest o tym, że się będzie pracować *non sordidi lucri causa, nec ad vanam captandam gloriam, sed quo magis veritas propagetur et lux eius in qua salus humani generis continetur clarius effulgeat* — czyli nie dla mało godziwego zarobku, ani dla zdobycia czezej sławy, ale po to, by prawda szerzyła się coraz bardziej i światło jej świeciło coraz jaśniej. Treść tych słów niezależnie od tego, jakiej miałyby służyć dyscyplinie naukowej, ma charakter humanistyczny, i to podnosi na duchu humanistę, to znaczy filologa w ogóle, zarówno językoznawcę, jak historyka literatury, czy wreszcie historyka — badacza dziejów.

Językoznawstwo jest jedną z nauk o człowieku, toteż *nihil humani* nie może językoznawcy być obce. Ze względu na swój społeczny charakter wymaga ono ujmowania zagadnień w rozległych perspektywach zarówno w przestrzeni, jak w czasie, zarówno pod względem synchronicznym, jak diachronicznym. Synchronia — dosłownie współczesność („współczesność”) to tylko przemijająca chwila nieustannie płynącego potoku życia i zachodzących w nim przeobrażeń. Pojęć synchronii i diachronii nie można unieruchamiać, przeciwstawiać sobie i sztywnie polaryzować. Rzecz zdawałoby się, bardzo prosta, a mimo to dogmatyczne albo tylko sloganowe przeciwstawianie pojęć synchronii i diachronii należy do rekwizytów stylistycznych, którymi dość często się operuje. „Byli chłopcy i byli, ale się minęli i my się minimy po małućkiej chwili”. W treści tej śpiewanki góralskiej są pojęcia synchronii i diachronii, wypowiedziane w słowach sugestywniejszych od sformułowań w stylu urzędowym czy też kancelaryjno-naukowym.

Projektowanie programu zjazdu naukowego nie jest wytyczaniem kierunku rozwoju nauki. Takich ambicji organizatorzy Zjazdu nie mogą i nie powinni mieć. Nużące jest czytanie powtarzających się apelów nawołujących do stosowania takich czy innych metod pracy, do opierania się na postulowanych przez kogoś założeniach, i realizowanie szkicowanych przez kogoś programów naukowych.

Zjazd naukowy powinien być trybuną dyskusyjną, dyskusja zaś to współpraca, a nie konflikt. Trochę aforystycznie i paradoksalnie rzecz ujmując, uczestników dyskusji naukowej łączy nawet to, co ich dzieli. Dzielić ich mogą różnice w poglądach na pewne zagadnienia, łączy ich natomiast dążenie do wydobycia na jaw tego, co stanowi obiektywną treść dyskutowanych zagadnień.

Znamienne słowa napisał Pawłow (któremu na Międzynarodowym Kongresie Naukowym w 1934 r. przyznano tytuł „Princeps physiologorum mundi” — pierwszy wśród fizjologów świata): „i w tej dziedzinie jak we wszystkich innych działach fizjologii, więcej pozostanie do poznania niż to, co wiemy”. Od czasów Pawłowa wiele się mogło zmienić w fizjologii, ale treści przytoczonych słów nie należy zapominać, bo taka postawa uczonego nie tylko się przyczynia do postępu w nauce, ale może być stawiana jako wzór w pracy nad kształceniem młodych kadr naukowych.

Dyskusje naukowe, jeżeli mają być owocne, muszą się opierać na pewnych zasadach. Refleksje nasuwające mi się w związku z tym tematem usiłowałem kiedyś skodyfikować i ogłosiłem drukiem w „Studiach Filozoficznych” 1965, z.1. pod tytułem *Zasady dyskusji naukowej*.

W księdze streszczeń referatów i komunikatów (liczącej 1170 stron) jest wiele interesujących rzeczy. Widać, że slawistyka jest w fazie bujnego rozwoju. Jest to w znacznym stopniu następstwem układu stosunków w Europie powojennej, paktów pozawieranych między państwami nie tylko naszego bloku. Zawieranie paktów to rzecz polityków, przypomnienie przy

okazji, że *pacta sunt servanda*, to głos humanisty, który ma dobrą sposobność użycia formy łacińskiego gerundivum nie mającego odpowiednika w gramatyce języków słowiańskich: *sunt servanda* tzn. powinny być dotrzymywane. Powinność to pojęcie moralne, a więc należące do zakresu humanistyki.

Prof. Dean Worth, autor wielkiego *Russian Derivational Dictionary*, łaskawie nam nadesłał zbiór referatów wygłoszonych przez uczestników Międzynarodowego Kolokwium Slawistycznego, które się odbyło w Los Angeles w Kalifornii w roku 1970. Książka ma tytuł „The Slavic Word”. Jak należałoby ten tytuł przetłumaczyć? W tłumaczeniu powierzchownie dosłownym brzmiałby on „Słowo słowiańskie”, ale co mielibyśmy rozumieć przez *słowo* w tym kontekście? Interesują nas zresztą i inne konteksty *słowa*: wystarczy przypomnieć zdanie *in initio erat verbum* «na początku było słowo».

W różnych, często mistycznych intencjach operują *słowem* poeci, jak np. Słowacki, który w pierwszym rapsodzie „Króla Ducha” pisze o Popielu, że w pewnej chwili ukazał mu się „wid... Piękność córka Słowa, pani któregoś z ludów na Północy, jaką judejscy widzieli prorocy”. Na różnicy samogłosek *o* i *a* w formach *Słowianie* — *Sławianie* opiera poeta refleksję historiozoficzną, dotyczącą „walki Sławian Północnych ze słowem”. Magii słów w tym samym a może nawet większym stopniu ulegał mało zresztą dziś czytany autor Przybyszewski, który pojmował sztukę jako nić łączącą człowieka z boskim pierwiastkiem, a który główne zadanie widział w „szukaniu dróg do utraconego raj, w przenikaniu ciemnych tajemnic przedświatowego bytu”. Gdy się czyta takie zdania, nie można nie dojść do wniosku, że w hierarchii celów nauki rozpraszanie mętu myślowego powinno stanowić jeden z jej celów głównych i że na drodze do tego celu nie może zabraknąć językoznawstwa, dyscypliny naukowej, której przedmiotem badania są słowa, ich wzajemne relacje, ich funkcje.

Brak czasu na dokonywanie przeglądu różnych sposobów ujmowania *wyrazu* (*słowa*), o którym mówił Meillet, że jest „en principe indéfinissable”. Pewien wybitny językoznawca uważał, że *słowo* (*wyraz*) jest „nie tylko podstawową jednostką zasobu leksykalnego, ale jest zarazem centralną węzłową jednostką języka w ogóle”. W takim sformułowaniu jest *circulus in definiendo*, bo zasób leksykalny to zbiór wyrazów, nie można więc określać *wyrazu* przez jego odniesienie do zbioru, którego jest elementem.

Z tego, że język jest jedną z form zachowania (*behaviour, comportement*) człowieka, wynika jednoznacznie, że elementarnymi jednostkami języka nie mogą być statycznie pojmowane cegiełki głoskowe („Bausteine”), ale muszą być nimi stereotypy dynamiczne, kompleksy artykulatoryjno-słuchowe aktualizujące się pod wpływem bodźców egzogenicznych lub endogenicznych. Literatura poświęcona tym zagadnieniom jest ogromna. Jedną z ostatnich pozycji bibliograficznych tego zakresu jest praca Nullo Minissi (dyrektora Istituto Orientale w Neapolu) o lakonicznie sfor-

mułowanym tytule: „Unnützlkeit der Phonemtheorie”. Przypomina to określenie fonemu jako fikcji („The phoneme as a fiction”) w jednej z dawnych już prac prof. Twaddella.

Nie można zrozumieć języka, nie można wyjść z impasów złudnej wiedzy werbalnej, jeżeli się ogranicza badanie języka do analizy relacji wyrazu do wyrazu, form do form sądząc, że taka jest droga do zapewnienia językoznawstwu autonomii wśród innych nauk.

Językoznawcę interesuje to, jak *homo loquens* — a każda jednostka należąca do tego gatunku odznacza się jednością bio-psycho-socjalną — percypuje świat; jak te percepcje otrzymują „chrzest językowy”, jak się przekształcają w informacje słowne. Zagadką, a nawet — jak mówił półzartobliwie Baudouin de Courtenay — cudem, jest fakt, że energia fizyczna bodźców zostaje transformowana w energię nerwową, która w końcu ulega werbalizacji, tzn. realizuje się w słowach, a my z tych słów czerpiemy informacje o tym, co jest poza nami. Przez zasłonę słów myśl nasza musi się przebijać, żeby docierać do tego, co obiektywnie jest poza naszym „ja”.

Dla znacznej większości uczestników Kongresu Sławistów jeden z języków słowiańskich jest językiem ojczystym, język zaś ojczysty jest materiałem zawsze dla badacza dostępnym i pozwalającym nie tylko formułować tezy ogólne, ale i sprawdzać je. Miał rację A. Belić w tym, co pisał we wstępie do swej książki „O jezičkoj prirodi i jezičkom razvitku” («O istocie i rozwoju języka», Beograd 1941): „[...] za pomocą jakiego mechanizmu uruchamiamy środki językowe, dzięki którym wyrażamy nasze myśli? Zwracamy się przede wszystkim sami do siebie, zaczynamy od siebie, swój język poddajemy analizie, wnioski zaś, do których dochodzimy, sprawdzamy na materiale innych języków [...]”. Są to słowa charakterystyczne dla postawy uczonego, który fakty szczegółowe rzutuje na tło ogólne i włączeniu pracy empirycznej z refleksją teoretyczną widzi główną treść wszelkiej nauki, a więc także badania dialektów.

Sławiści spotykający się na Kongresie Sławistów są wszyscy „u siebie”. O językach, które mają w pewnych zakresach kontakty ze sobą, mówi się „languages in contact”. Kongresy Sławistów to „slavists in contact”. Gorąco pragniemy, aby nasz Kongres pozostał w pamięci jego Uczestników jako pożyteczny zarówno dla postępu nauki, jak i dla umacniania uczuć przyjaźni w najszerszej skali międzynarodowej.

Richard A. Hudson
(Londyn)

SYSTEMOWA GRAMATYKA GENERATYWNA

II. FORMA GRAMATYKI SYSTEMOWEJ

Zasada gramatyki systemowej jest bardzo prosta. Ma ona [gramatyka] dwa zbiory reguł, zwane odpowiednio siecią systemów i regułami realizacyjnymi. Przy generowaniu każdego elementu (a nie każdego zdania) najpierw stosuje się sieć systemów, a potem wszystkie reguły realizacyjne. Sieć systemów zawiera wszystkie cechy klasyfikujące całej gramatyki i określa, jakie połączenia tych cech są dozwolone przy klasyfikacji poszczególnych elementów. Reguły realizacyjne precyzują wszelkie powiązania, jakie mogą zachodzić między cechami jednego elementu a cechami każdego elementu, zawierającego się w nim.

Tak więc na przykład sieć systemów dla języka angielskiego przypisze elementom zarazem cechę „past” i cechę „perfect” — tylko o ile będą one miały również cechę „zdanie” — innymi słowy, tylko zdaniom przysługuje cecha „past” lub „perfect”. Z drugiej strony reguły realizacyjne pokażą, w jaki sposób te cechy zdania odzwierciedlają się w cechach jego składników. Na przykład czas przeszły („past”) jest realizowany albo jako czasownik w czasie przeszłym, albo jako *have*, zależnie od pozostałych cech zdania. „Perfect” jest także realizowany przez *have*. Cecha „czasownik w czasie przeszłym” jest przypisywana pierwszemu czasownikowi, który musi mieć również cechę „czasownik w formie osobowej”. Miejsce *have* określa się za pomocą reguły, która umieszcza je przed *be*, ale po czasowniku modalnym. Wreszcie, jeśli obie cechy „past” i „perfect” zostaną zrealizowane przez *have*, oba użycia *have* odnoszą się do tego samego wyrazu, a zatem ... *must have taken...* może być przykładem „past perfect”.

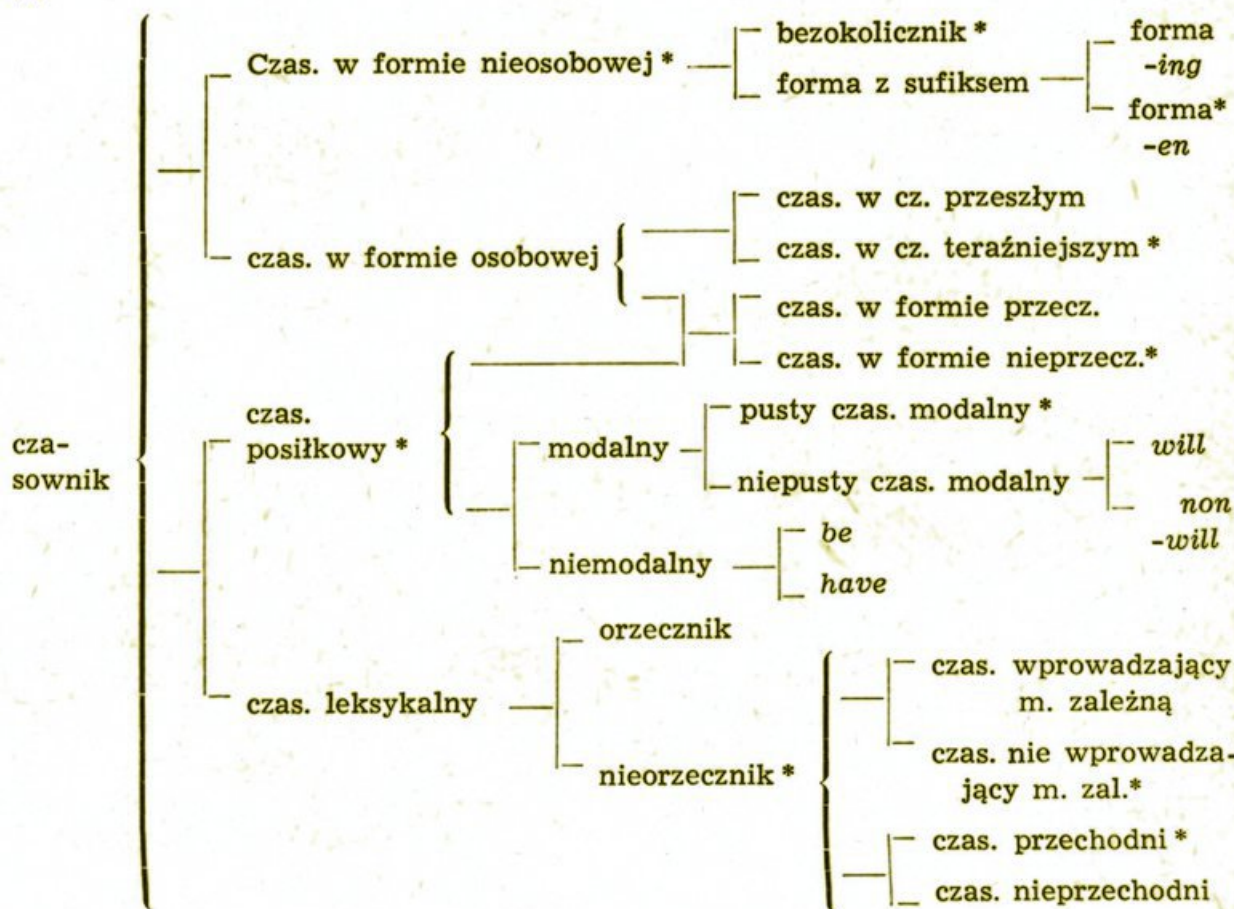
Innymi słowy, rozbieżności między zjawiskami „głębokimi” i „powierzchniowymi” są rozwiązywane głównie za pomocą reguł realizacyjnych, co daje im w gramatyce systemowej miejsce podobne pod pewnymi względami do zajmowanego przez reguły transformacyjne w gramatykach transformacyjnych. Są one z pewnością podobne do transformacji w tym, że funkcja ich jest czysto interpretacyjna. Za punkt wyjścia biorą one kombinacje cech generowane przez sieć systemów i nanoszą je w sposób czysto mechaniczny na relewantne schematy cech konstytutywnych (lub na relewantne schematy fonologiczne). Sieć systemów odpowiada natomiast

regułem frazowym gramatyki transformacyjnej w tym sensie, że jest to składnik „kreatywny” składni, w którym dokonują się wszystkie wybory, prowadzące do takiej a nie innej struktury. Jednakże, mimo tego podobieństwa w funkcjonowaniu, sieć systemów działa w sposób bardzo różny od zbioru reguł frazowych, co zostanie wyjaśnione poniżej.

SIECI SYSTEMÓW

Przedstawiona niżej sieć dla czasowników (jako pojedynczych słów, a nie jako ciągu czasowników) ilustruje wszystkie niemal konwencje zapisu używane w sieciach systemów.

(8)



W artykule tym nie ma miejsca na dyskusję nad szczegółami tych reguł czy reguł następnych, które jeszcze dla przykładu podam. Wiele z nich zostało przedyskutowanych w mojej pracy (Hudson, 1971¹), dyskusje nad innymi są przygotowywane. Dla tego artykułu reguły mają znaczenie tylko w takiej mierze, w jakiej ilustrują ogólne założenia. Starłem się jednak dawać jako przykłady reguły, co do których czytelnicy mieliby stosunkowo najmniej zastrzeżeń.

¹ R. A. Hudson: „English complex sentences: an introduction to systemic grammar”, Amsterdam, North Holland 1971.

Sieć systemów przedstawiona w (8) jest szeregiem oddzielnych systemów, z których każdy ma formę:

$$(9) \quad A \text{ ————— } \left[\begin{array}{l} \text{---}x \\ \text{---}y \end{array} \right.$$

gdzie x i y są pojedynczymi cechami tworzącymi opozycję (człon y systemu) a A (warunek wejściowy) systemu jest albo pojedynczą cechą, albo dyzjunkcją lub koniunkcją cech. Ponieważ cecha (lub cechy) w A musi również być członem jakiegoś innego systemu, łatwo dostrzec, w jaki sposób sieć systemów wiąże ze sobą wszystkie cechy. Jediną cechą nie będącą członem systemu jest cecha położona najbardziej na lewo w sieci. W (8) jest nią „czasownik” ale w całej gramatyce języka angielskiego będzie nią „element”, bowiem taka sama sieć obejmować będzie cechy całości gramatyki.

Prawy nawias kwadratowy, który łączy x i y w (9) oznacza „lub”: jeżeli warunek wejściowy A jest spełniony (innymi słowy, jeżeli istnieje element mający cechy określone przez A), to musi zachodzić x lub y . W (8) występują również dwa inne rodzaje nawiasów: prawy nawias okrągły i lewy nawias okrągły. Oba znaczą „i”: prawy nawias łączy systemy, które mają ten sam warunek wejściowy, lewy nawias natomiast łączy cechy stanowiące jeden warunek wejściowy tak, że wszystkie te cechy muszą zachodzić, aby wystąpił system. Jest jeszcze czwarta możliwość, która nie występuje w (8) i która jest raczej rzadkością w dobrej gramatyce: a mianowicie lewy nawias kwadratowy, który także oznacza „lub” i łączy dyzjunkcję cech stanowiących jeden warunek wejściowy. Te cztery rodzaje nawiasów obrazuje w skrócie (10).

$$(10)$$

$A \text{ — } \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right.$:	albo b , albo c zachodzi przy warunku wejściowym A . Opozycja między b i c jest systemem.
$A \left\{ \begin{array}{l} \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right. \\ \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}m \\ \text{---}n \end{array} \right. \end{array} \right.$:	albo b , albo c oraz albo m , albo n zachodzi przy warunku wejściowym A
$x \text{ — } \left[\begin{array}{l} \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right. \\ \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right. \end{array} \right.$:	warunkiem występowania systemu b/c jest zachodzenie x lub y
$x \text{ — } \left\{ \begin{array}{l} \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right. \\ \text{---} \left[\begin{array}{l} \text{---}b \\ \text{---}c \end{array} \right. \end{array} \right.$:	warunkiem występowania systemu b/c jest zachodzenie łącznie x i y

Gwiazdka przy niektórych cechach w sieci (8) oznacza „nienacechowany”. Cechy, których dotyczy, są obligatoryjne we wszystkich wypadkach występowania systemu, o ile jego drugi człon nie zostaje wybrany ze względów czysto wewnętrznych. Innymi słowy, w wypadku, gdy jeden człon systemu jest oznaczony gwiazdką, system nigdy nie przedstawia wolnego wyboru, bo albo kontekst składniowy wymaga członu nieoznaczonego

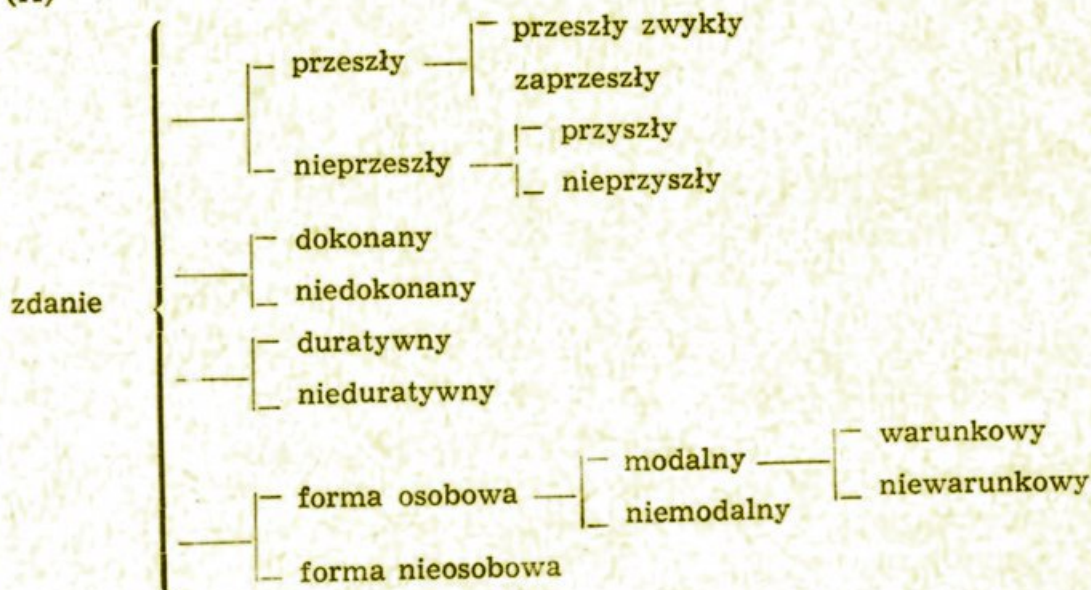
gwiazdką, albo konieczne jest użycie członu oznaczonego. Na przykład w (8) gwiazdką oznaczona jest cecha „*pusty*, czasownik posiłkowy modalny” oraz „czasownik posiłkowy modalny” i „czasownik posiłkowy”, które do niej prowadzą. Gwiazdki te pozwalają na wprowadzenie formy „zastępczego” czasownika posiłkowego *do* (*dummy do* — identyfikowanego jako „*pusty czasownik posiłkowy modalny*”) wszędzie tam, gdzie powinien wystąpić czasownik w formie osobowej, który nie jest identyfikowany ani jako czasownik leksykalny, ani jako którykolwiek z pozostałych czasowników posiłkowych. Znaczy to, iż nie jest potrzebna specjalna reguła wprowadzająca *do* zastępcze w wypadku zdań przeczących lub w wypadku inwersji podmiotu i orzeczenia. Użycie gwiazdki pozwala na daleko idące uproszczenie gramatyki i wiernie oddaje status „nienacechowany” pewnych wyborów.

Sieć (8) jest prawdopodobnie nietypowa, jeśli chodzi o liczbę cech oznaczonych gwiazdką, których jest bardzo dużo. Jest ona natomiast typowa z dwóch innych względów. Przede wszystkim, wszystkie systemy są binarne — nie wynika to z założenia, wydaje się to natomiast tendencją optymalnych sieci systemów. Po drugie zaś, sieć rozpada się na dwie stosunkowo niezależne podsieci, połączone tylko jednym systemem. Każda z tych podsieci klasyfikuje czasowniki ze względu na inne cechy: górna połowa sieci (8) klasyfikuje je ze względu na formę czasownika *x*, natomiast dolna połowa — ze względu na charakter czasownika *x*. Według Hallidaya, istnienie takich stosunkowo niezależnych podsieci w całej gramatyce jest formalnym dowodem słuszności jego założenia, iż oddzielne składniki gramatyki odpowiadają różnym funkcjom języka.

REGUŁY REALIZACYJNE

Aby pokazać, jak działają reguły realizacyjne, musimy mieć cechy zdań, które moglibyśmy odnieść do cech czasownika podanych w (8). Sieć (11) daje kilka systemów, które odnoszą się do zdania angielskiego.

(11)



Zadaniem reguł realizacyjnych jest pokazanie, w jaki sposób te cechy zdania znajdują odbicie w cechach i szyku jego składników. Ponieważ tylko czasowniki spośród składników zdania możemy na razie poklasyfikować, umyślnie wybrałem te cechy zdania, które są realizowane jedynie przez cechy czasowników. Reguły realizacyjne podane są w (12).

(12)

	cecha realizowana	warunek	reguła
1	zdanie	nie z łącznikiem	+ czas. leksykalny
2	przeszły	niemodalny	+ czas. w czasie przeszłym
3	przeszły	nie-niemodalny	+ <i>have</i>
4	zaprzeszy		+ <i>have</i>
5	przyszły	nie-niewarunkowy	+ <i>will</i>
6	dokonany		+ <i>have</i>
7	duratywny		+ <i>be</i>
8	forma osobowa		+ czas. w formie osobowej
9	warunkowy		+ czas. w czasie przeszłym
10	niewarunkowy		+ niepusty czas. modalny
11			[czas. posiłkowy] —
			[czas. leksykalny]
12			[czas. pos. mod.] —
			czas. pos. niemod.]
13			[<i>have, have</i>]
			[<i>have</i>] — [<i>be</i>]
14			+ forma <i>-ing</i> /[<i>be</i>
			[duratywny]]
15			[X, czasownik]
			+ forma <i>-en</i> /[niemod. po-
16			silkowy]
			[X, czasownik]
17			[czas. w formie osob.
			pierwszy czasownik]

„Cecha realizowana” jest to cecha zdania, której realizację podają omawiane reguły. Reguły realizacyjne rozpoczynają się zawsze od reguł takich jak 1-10, w których występuje cecha realizowana, lecz w skład ich wchodzi również reguły takie jak 11-17, które nie zawierają cechy realizowanej i działają bezpośrednio na strukturach — zazwyczaj dla uporządkowania cech wprowadzonych przez reguły wcześniejsze do ciągu wiązek cech. Być może (jak to ma miejsce w mojej pracy, por. Hudson 1971²) powinno się rozróżnić dwa zupełnie oddzielne rodzaje reguł: reguły realizacyjne „właściwe” i reguły realizacyjne „służące do budowy struktury”. Na razie jednak pozostawimy ten problem otwarty.

Wszystkie reguły zawierające cechę realizowaną określają funkcjonalne konfiguracje cech, podobnie jak przykłady („element [zdanie]”, „czasownik

² Ibidem.

w czasie przeszłym [warunkowy]" itd.), o których była mowa w rozdziale 2. Reguła 15 pokazuje, w jaki sposób może być realizowana tego rodzaju konfiguracja. Reguła ta przypisuje formę *-ing* czasownikowi następującemu po którejś z form czasownika *be*, przy założeniu, że *be* jest realizacją cechy „duratywny”. Reguła ta odnosi się więc do „*be* [duratywny]”. Od różnia ona to użycie *be* od użyc, które nie realizują cechy „duratywny”, jak np. łącznik czy strona bierna, chociaż, jak się okazuje, włączenie tych cech zdania do naszej części gramatyki było niepraktyczne.

Znaczenie symboli użytych w zapisie reguł jest następujące.

- (13)
- | | | |
|------------|---|-----------------------------------------------------------------------------------|
| +x | : | jeden składnik ma cechę „x”, która w wypadku jego nieobecności by nie wystąpiła. |
| +x/...x... | : | analogicznie, jeden składnik ma cechę „x”, a X wskazuje, który to składnik. |
| [x]-[y] | : | składnik mający cechę „x” musi poprzedzać składnik mający cechę „y”. |
| [x]^[y] | : | składnik mający cechę „x” musi bezpośrednio poprzedzać składnik mający cechę „y”. |
| [x, y] | : | składnik mający cechę „x” ma również cechę „y” |

Termin „składnik” w tych objaśnieniach może być rozumiany jako „składnik bezpośredni”, o ile nie ma specjalnych wskazówek do innego jego rozumienia. Na przykład w pytaniach rozłącznych jak: *Was it a boy or a girl?* musi wystąpić składnik z cechą „rozłączny” (np. ciąg elementów połączonych za pomocą *or*), ale nie musi on być składnikiem bezpośrednim, jak to ma miejsce w: *Do you want a chocolate with a hard or a soft centre?* Aby pokazać, że cecha „rozłączny” realizująca „alternatywę” nie musi być składnikiem bezpośrednim elementu „alternatywa”, możemy użyć następującego zapisu:

- (14) $+x/\left[\begin{array}{c} \text{element} \\ X \end{array} \right]$

Znaczy to, że cecha dodana — w tym wypadku „rozłączny” — albo wiąże się z cechami jakiegoś elementu, który jest składnikiem bezpośrednim, albo jest przez te cechy narzucona.

KOLEJNOŚĆ REGUŁ REALIZACYJNYCH

Reguły realizacyjne w (12) są ponumerowane od 1 do 17 i powinny być stosowane w kolejności, poczynając, co jest istotne, od pierwszej. W rzeczywistości kolejność stosowania niektórych reguł nie ma znaczenia i słuszniej byłoby powiedzieć, że reguły grupują się w zbiory wewnątrznie nieuporządkowane, uporządkowane jednak względem siebie. Na przykład, możemy stosować reguły z cechą realizowaną (numery od 1 do 10) w dowolnym porządku, a rezultat będzie zawsze ten sam. Możemy więc traktować te reguły jako jeden zbiór, którego zastosowanie musi poprzedzać zastosowanie jakiegokolwiek innej reguły.

Pozostałe reguły można również pogrupować w uporządkowane zbiory. Pierwsza z reguł od 11 do 17 w (12) to: [czasownik posiłkowy] — [czasownik leksykalny], która umieszcza wszystkie czasowniki posiłkowe na lewo od czasownika leksykalnego. Druga reguła [czas. posiłkowy modalny] — [czas. posiłkowy niemodalny] stawia czasowniki posiłkowe modalne przed innymi czasownikami posiłkowymi. Reguła trzecia [*have, have*] łączy wszystkie wypadki pojawienia się cechy *have*, tak, iż nigdy nie wystąpi wśród czasowników posiłkowych więcej niż jedna forma *have*, nawet jeśli ma ona realizować „past”, „past-past” i „perfect”, jak to się może zdarzyć. Wreszcie reguła czwarta stawia „*have*” przed „*be*”. Te cztery reguły mogą być stosowane w dowolnym porządku i niezależnie od kolejności stosowania ułożą czasowniki posiłkowe we właściwym szyku. Natomiast reguła następna (Reguła 15: + forma *-ing*/[*be* [duratywny]] [X, czasownik]), musi być stosowana po tych czterech, ponieważ odnosi się do następnego czasownika, co zakłada uprzednie uporządkowanie czasowników. Dopiero po tej regule może być zastosowana reguła 16 (+ forma *-en*/[czasownik posiłkowy niemodalny] [X, czasownik]), ponieważ zamienia ona na imiesłów czasu przeszłego każdy czasownik następujący po czasowniku posiłkowym niemodalnym, np. po *have* lub *be*, o ile poprzednia reguła nie zamieniła go na imiesłów czasu teraźniejszego. Wreszcie reguła 17 — [czasownik w formie osobowej, pierwszy czasownik] — może być zastosowana dopiero po określeniu miejsca podmiotu i czasownika w formie osobowej przez inne reguły (których nie możemy tu podać), ponieważ reguła ta nie może łączyć „czasownika w formie osobowej” z „czasownikiem leksykalnym”, jeśli podmiot ma się znajdować między pierwszym i drugim. Tak więc reguły w (12) muszą być stosowane w kolejności 1-10; 11-14; 15; 16: ...: 17.

Istnieją oczywiste podobieństwa między kolejnością reguł realizacyjnych i kolejnością reguł transformacyjnych. W obu wypadkach treść reguły późniejszej zależy od reguł wcześniejszych. Widać to na przykładzie transformacji zwanej „*do-zastępcze*” (*dummy-do*), która wprowadza „*do* zastępcze” po uprzednim oddzieleniu elementu wyrażającego czas od czasownika głównego przez kilka innych transformacji. Podobnie reguły realizacyjne, które dodają sufiksy do czasowników zależnie od poprzedzającego je czasownika posiłkowego, nie mogą być stosowane przed uporządkowaniem czasowników przez reguły wcześniejsze.

Niemniej jednak, zachodzi również istotna różnica między rezultatem uporządkowania reguł transformacyjnych i realizacyjnych. W wypadku tych ostatnich nie wolno zastosować reguły, jeśli prowadziłoby to do sprzeczności z regułą wcześniejszą. Oznacza to, że reguły te nie mają nic z „destruktywnej” mocy transformacji. Na przykład zdawać by się mogło, że reguła 16 w (12) dodaje „formę *-en*” do czasownika poprzedzonego każdym czasownikiem posiłkowym niemodalnym. Jednak fakt, że reguła ta następuje po regule 15, oznacza, iż nie doda ona „formy *-en*” do czasownika następującego po duratywnym *be*, gdyż czasownik ten już będzie miał

formę *-ing* dzięki regule 15. Sieć systemów (8) mówi nam, że żaden czasownik nie może mieć obu tych cech, ponieważ są one członami tego samego systemu, a więc dodanie pierwszej wyklucza drugą.

Fakt, że żaden element struktury syntaktycznej nigdy nie jest usuwany dla wstawienia innego elementu (lub zera), stanowi poważne ograniczenie mocy takiej gramatyki w porównaniu z dużą mocą reguł transformacyjnych. Jeśli okaże się, że moc gramatyki transformacyjnej jest rzeczywiście konieczna, aby podołać językowi naturalnemu, wówczas oczywiście wiele dowiemy się o naturze języka. Dopóki jednak wszystkie słabsze teorie, włączając w to gramatykę systemową, nie zostaną wypróbowane, nie będziemy pewni, jaką moc powinna mieć teoria. Niektórzy językoznawcy sądzą, iż gramatyka generatywna, która po prostu tworzy a nie tworzy i potem niszczy lub zmienia, jest warta uwagi jako model analizy i syntezy tekstów.

OGRANICZENIA WYJŚCIOWE (OUTPUT CONSTRAINTS)

Wydaje się, że oprócz kilku rodzajów reguł realizacyjnych potrzebne będą także ograniczenia wyjściowe, eliminujące pewne struktury. Nie jest jeszcze całkiem jasne, jak będą one sformułowane i powiązane z innymi regułami, ale na razie możemy chyba przyjąć jako typowe następujące przykłady:

(15) * [czasownik w formie osobowej] — [zależny]

(16) * [be [duratywny], forma *-ing* [gerundium]]

Reguła (15) wyklucza zdania złożone, w których szyk zdania zanurzonego i czasownika głównego uległ inwersji, nawet jeśli odpowiednia forma bez inwersji jest prawidłowa (porównaj Ross 1967³):

(17) *That the weather will improve is unlikely.*

* *Is that the weather will improve unlikely?*

Podobnie (16) wyklucza formy duratywne gerundialne, w których *be* realizujące cechę „duratywny” byłoby również „formą *-ing*” realizującą „gerundium”, nawet jeśli nie istnieją inne powody wyeliminowania tej formy. Reguła ta wyklucza formy duratywne gerundialne takie jak *being working*, które są eliminowane na podstawie reguły podwójnego *-ing* Rossa⁴.

Tłumaczyła Monika Thieme

³ Por. J. R. Ross: „Constraints on Variables in Syntax”, Cambridge 1972, Mass. M.I.T. (Doctoral dissertation).

⁴ Ibidem.

O NAZWIE PSZCZEWO

W analizie etymologicznej nazw geograficznych nie można abstrahować od historycznych przekazów źródłowych, które by daną nazwę ukazywały w różnych okresach jej dziejów. Nazwy bowiem, jak i inne twory języka, podlegają rozwojowi fonetycznemu, przekształceniom morfologicznym itp. Czasem na skutek obumierania i wypadania z obiegu wyrazów pospolitych czy imion osobowych, które stanowiły niegdyś podstawę ich derywacji, nazwy geograficzne tracą swoje pierwotne znaczenie.

Wszystko to są fakty znane szeroko. Dość często jednak zdarza się jeszcze objaśnianie rozmaitych nazw miejscowych na podstawie ich dzisiejszego brzmienia.

W jednym z dawniejszych artykułów pisał S. Rospond: „Mamy obfity i charakterystyczny materiał porównawczy nazewniczy dotyczący grupy nagłosowej $pč \leftarrow pšč \leftarrow plšč // blšč$: *Pczewo* (miejscowość i jezioro) \leftarrow *Pszcze-wo* \leftarrow *Plszczewo*, dziś *Pszczew*, pow. międzyrzecki; *Pszczyna*, pow. rybnicki, dawniej *Plszczyna* oraz *Bluszczyna* [...], por. też staroruski gród *Psków* \leftarrow \leftarrow **Plъskovъ*, który był błędnie przez A. Brücknera objaśniony od *pło*, *pleso* (jezioro) [...]”. Wszystkie te nazwy autor zestawiał z pniem **blъsk-* «błyszczec»¹. Znaczenie nazwy śląskiej *Pszczyny* (która jednak — wbrew temu, co pisze S. Rospond — nie leży w powiecie rybnickim, lecz od dawien dawna jest siedzibą osobnego powiatu pszczyńskiego) objaśniłem już przed kilku laty w osobnym artykule o nazwach onomatopeicznych². Co się tyczy *Pskowa* położonego u zbiegu rzek Wielkiej i *Pskowy*, to łącznie z tą ostatnią tłumaczy się on dokładnie tak, jak śląska *Pszczyna*, dawniejsza *Plszczyna*, *Pluszczyna* albo *Bluszczyna*, z którą por. nazwę *Pluszczyna* — od rdzenia **plъsk-* «pluskać» występującego obocznie do **plъsk-*, **blisk-*, **plusk-*, **plesk-* itp. tworów dźwiękonaśladowczych szeroko rozpowszechnionych w indoeuropejskich nazwach szmerów wodnych lub pojęć związanych z żywiołem wodnym (m.in. niem. *fliessen*, *Fluss*, *Flut*, gr. *πλέω* «żegluję, pływam», scs. *plovъ* «ts», łac. *pluit* «pada deszcz», pol. *pływać*, *plawić* itd. Także z rzeczownikiem pospolitym *pło*, *pleso* «jezioro» nazwy wymienione

¹ S. Rospond: *Ze studiów nad polską toponomastyką*, XI. Zagadkowa nazwa *Pcim*, „Język Polski” 1965, z. 1, s. 8-12.

² E. Moško: *O kilku nazwach onomatopeicznych*, „Por. Jęz.” 1964, z. 2, s. 60 i nast.

mają związek przez onomatopieczne *pl-* takiego samego pochodzenia jak *pl-*, *bl-* w innych wyrazach naśladowujących szmer wody. Należy wziąć przy tym pod uwagę, że nazwa *Pskowa* w najstarszym Latopisie przekazana została jako *Plskov*, a niemiecka i łacińska jej postać *Pleskau*, *Plescovia* wykazują dokładnie dawną spółgłoskę płynną *l*, co pozwala na zrekonstruowanie formy praruskiej i zarazem prasłowiańskiej **Pl̥skovъ*. W Bułgarii Naddunajskiej znane są ściśle odpowiedniki tej nazwy: *Pliskow* i *Pliskowa*, których pierwiastek w postaci zawierającej samogłoskę *-i-* tkwi także w nazwie *Pliszczyna* obocznej do *Plszczyna* \cong *Pszczyna*, a w rozmaitych innych wariantach występuje w licznych słowiańskich tworach toponomastycznych. Tak więc nazwa miejscowa **Pl̥sk-ov-ъ* i nazwa rzeczna **Pl̥sk-ov-a* to nazwy od plusku wodnego się wywodzące, nazwy onomatopieczne, charakteryzujące naturalne głosy krajobrazu.

Istnieje wprawdzie inna etymologia nazwy rzecznej *Pskowa* \leq **Pl̥skova* \leq **Pl̥skova* (nad którą to rzeką u jej ujścia do Wielkiej położony jest *Psków*). Jest to etymologia podana przez Karstena, biorąca pod uwagę fakt, że rzeka ta po estońsku nazywa się *Pihkwa*, a jej fińskie imię brzmi *Pihkova*, co wymieniony autor — łącznie ze słowiańską formą — wywodzi z nordyckiego *Fiskawa* «rybny strumień»³. Nazwa *Fiskawa* tłumaczyłaby się oczywiście w związku z germ. **fisk* «ryba», goc. *fisks*, swn. *fisk*, stang. *fisk*, stnord. *fiskr*, swn. *visch*, niem. *Fisch*, do czego dalsze indoeuropejskie nawiązanie znajdujemy w łac. *piscis* «ryba». Drugi człon tej nazwy zawierałby może germ. *ahva*, *aha* «woda», prapokrewne łac. *aqua*, do czego słowiański odpowiednik spotykamy, jak się wydaje, w rozmaitych polskich nazwach geograficznych pochodzących z hydronimii, jak *Oswa*, *Oświca*, *Oświeja*.

Gdyby nawet rzeczywiście istniała kiedyś forma *Fiskawa* jako nazwa wspomnianej rzeki, to łącznie z postacią fińską i estońską mogłaby ona wskazywać na domniemaną wcześniejszą słowiańską postać **Pl̥skova* \rightarrow **Pl̥skova* \rightarrow *Pskowa*. Tymczasem forma podana przez Karstena jest — na odwrót — rekonstrukcją opartą na postaci fińskiej, gdzie mamy *-i-* zamiast *-l-* czy też *-l̥-*. Skoro jednak nazwa **Pl̥skova* dokładnie tłumaczy się na tle słowiańskiego zasobu morfemów, nie ma powodu, dla którego należałoby rekonstruować rzekomo bardziej prawdopodobną podstawę fińskiego i estońskiego zapożyczenia toponimicznego. Fińskie *Pihkova* wykazuje ten sam przyrostek co słowiańska nazwa wodna, zaś miękkie *l* albo, jeszcze przed zanikiem *ъ*, *-l̥-* brzmiało niekiedy bardzo podobnie do samogłoski *-i-* i mogło w adaptacji fińskiej i estońskiej przybrać takie brzmienie całkowicie; przekształcenie się zaś grupy spółgłoskowej *-sk-* w połączenie spółgłoszek *-h-* + *-k-* polega, jak się wydaje, na upodobnieniu spółgłoski szczelinowej *s* pod względem miejsca artykulacji do tylnojęzykowego *-k-*.

³ J. Staszewski: *Słownik geograficzny. Pochodzenie i znaczenie nazw geograficznych*, wyd. 2 przejr. i uzupeł., Warszawa 1959, s. 244.

Zupełnie inna jest etymologia nazwy *Pszczew*, dawniej *Pczew*. Oczywiście i ta nazwa nie da się związać w żaden sposób z pniem **bl̥sk-* «błyszczec». Cytowany wyżej autor sugerował, iż nazwa *Pszczew* (znana dziś w tym brzmieniu właśnie) najdawniej brzmiała **Plszczew(o)*, na co żadnych dowodów nie podaje, potem *Pszczew(o)*, chronologicznie zaś najnowszą postacią jest *Pczew(o)*. Aby stwierdzić, jak dalece wywód ten odpowiada rzeczywistości, należy go skonfrontować z dokumentacją:

1) *Pszczew*, niem. *Betsche*, miasteczko w powiecie międzyrzeckim, dawniej *Pczew*; 1259 r. *Pczew*; 1276 r. in *Pcew*; 1326 r. *Pczew*; 1470-1480 r. lacus *Pczow*; 1580 r. par. *Pczew*; Słown. geogr. *Pszczew* (Koz. III, 18).

2) *Pszczewo*, jezioro w powiecie międzyrzeckim (Sł. geogr.); 1470-1480 lacus *Pczow* (Koz. III, 18).

3) *Pczewo*, łąka nie znana dziś pod Pniewami; 1327 r. *Bezow*, Bithin et Pnewo; 1481 r. Pnyewa... medietas pratorum quae nominantur *Pczewo* et Ryczywol; 1786 r. palus *Pszczew*, pratum Ryczywol (Koz. III, 18).

4) *Pszczewo*, bagnisko pod Turowem; pole na Pniewach (Koz. III, 110).

5) *Pszczewskie Holendry*, pow. międzyrzecki (Sł. geogr.).

Jest zupełnie inaczej niż sugerowano w wymienionym artykule. Najdawniejsze przekazy źródłowe pozwalają stwierdzić brzmienie *Pčev*. Tak wymawiano tę nazwę w połowie XIII w. i w ciągu następnych stuleci. Postać *Pszczew* spotykamy dopiero w pięćset lat po pierwszym pojawieniu się nazwy w źródłach dziejowych, mianowicie w r. 1786: palus *Pszczew*. Dziś odpowiednie nazwy brzmią *Pszczew* lub *Pszczewo*. Nigdzie natomiast nie mamy formy **Plščevo*, którą bezpodstawnie przyjmował autor. Upada zatem jego etymologia od **bl̥sk-* «błyszczec».

Poddamy krótkiej analizie przykłady zaczerpnięte ze źródeł. Średniowieczna pisownia dwuznakiem *cz* oznaczała nie tylko spółgłoskę *č*, ale także *c* i *ć*. Ta ostatnia w drugiej połowie XIII w. prawdopodobnie już istniała, rozwinęła się — jak wiadomo — z *č*, które było już w najstarszej polszczyźnie przed każdą samogłoską przednią z wyjątkiem *-e-* kontynuującego ps. **č* i *y* kontynuującego ps. **y* będące samogłoską tylną. Możliwe były zatem ukryte pod szatą graficzną *Pczew* ewentualne formy **Pčev* albo **Pcew*, jednak wobec dość późnych XV-wiecznych, a zwłaszcza XVI-wiecznych zapisów wykazujących niewątpliwie postać fonetyczną *Pczew*, jak również przy uwzględnieniu dzisiejszego brzmienia, lekcje takie należy odrzucić, choć są zapisy wykazujące *c*, jak przekaz z r. 1276 in *Pcew* i z roku 1327 *Bezow*. Ten ostatni bowiem przekaz dokumentowy zdradza wyraźnie swój niemiecki rodowód użyciem litery *B* na oznaczenie spółgłoski *p* oraz wstawnym *e*. Charakterystyczne w niemieckich przekazach nazw słowiańskich w dobie średniowiecza jest mylenie spółgłosek dźwięcznych i bezdźwięcznych oraz wtrącanie samogłosek między zbitkę konsonantyczną. Znany jest też fakt, iż w języku średniowiecznym afrykaty dźwięcznej *č* nie było i identyfikowano ją w zapożyczeniach polskich do języka niemieckiego ze spółgłoską *c*, tak że zapis *Bezow* może oddawać postać zapo-

życzoną * *Becov*, zgodną już z systemem konsonantycznym i — ogólniej — fonetyczno-artykulacyjnym tego języka.

Ogólna tedy analiza filologiczna zebranego materiału dowodzi jasno, że brzmienie **Plščev* i wywód od **bl̥sk-* «błyszczec» w ogóle nie wchodzi tu w rachubę. Postać z *l* w zapisach wcale się nie pojawia i — jak to już wyżej stwierdziliśmy — forma zawierająca *š*, która według supozycji wymienionego autora powinna być chronologicznie wcześniejsza niż forma **Becov*, występuje dopiero na końcu jako ostatnie ogniwo rozwojowe w historii nazwy. Spotykamy ją po raz pierwszy w przekazie z r. 1786, podczas gdy postać bez tego *š* istniała już przez całe pięćset lat przedtem. Nazwa tedy *Pszczew* — jak to już słusznie zauważył S. Kozierowski — ma się do *Pczew* tak jak rzeczownik *pszczoła* (znany w tym brzmieniu od XVI w.) do staropolskiego wcześniejszego *pczoła* < **b̥čela*.

Kilka zapisów dotyczących śląskiej *Pszczyny* jeszcze wyraźniej ukaże różnicę w pochodzeniu i historii obu tych nazw, którym wymieniony autor przypisuje wspólny pierwiastek **bl̥sk-* i etymologiczne pokrewieństwo. Nazwa *Pszczyny* w przekazach nie zlatynizowanych i nie zniemczonych występuje z zachowaniem nagłosowej grupy konsonantycznej od początku aż do końca XVII w.: 1407 r. *Plschina*, 1444 r. *Blsscina*, 1464 r. *Blsscini*, 1470-1480 r. *Plysczyna*, XVI w. *Blyscena*, 1596 r. na *Blsscynie*, 1597 r. w *Blsscynie*, 1609 r. na *Blsscynie*, 1637 r. na *Blsscynie*, 1643 r. na *Pelieszczynie*. Jeszcze w r. 1699 zapisano: w państwie *plstinskim*. Postać *Pszczyna* (bez *l*) po raz pierwszy znana jest z dokumentu datowanego w r. 1511 i w ciągu prawie dwustu lat współzawodniczy z pierwotną formą, którą wypiera dopiero pod koniec XVII w., ustalając się zarazem jako ostateczne brzmienie nazwy, dziś w języku literackim wyłączne. Do jakiegoś dalszego uproszczenia i do postaci **pčyna* nie doszło wcale.

W skrótowym ujęciu mamy więc w nazwie *Pszczew* do czynienia z przebiegiem rozwojowym, który daje się wyrazić za pomocą formuły: *Pczew* → → *Pszczew*, podczas gdy nazwa *Pszczyny* w brzmieniu dzisiejszym ukształtowała się w drodze długiego ciągu rozwojowego, w toku którego poczynając od najstarszych postaci wyjściowych, jak: *Plszczyna*, *Blszczyna*, *Pliszczyzna*, *Bliszczyzna* ulegała ona rozmaitym kolejnym przekształceniom, aby ostatecznie na przełomie XVII i XVIII w. ustabilizować się w obecnym brzmieniu.

Dla *Pszczewa*, a wcześniejszego *Pczewa*, szczególnie ważna wydaje się już na pierwszy rzut oka analogiczna zmiana fonetyczna w rzeczowniku *pszczoła*, stp. *pczoła*, scs. *b̥čela*//*b̥čela*. W dziejach tego wyrazu w słowiańszczyźnie zaszły różnorakie zmiany fonetyczne nagłosu, co było wynikiem ubezdźwięcznia spółgłoski *b* przed *č* po zaniku *̥*. Mamy np. zanik *p* w serb. *čela*, metatezę w słoweń. *čbela*, w tym ostatnim wypadku dla artykulacyjnego utrzymania zbitki spółgłoskowej. W języku czeskim zaszło przejście *bč*-<*vč*- i wyraz przybrał brzmienie *včela*, w polskim natomiast dla ułatwienia artykulacji grupy spółgłoskowej wsunięto między *p* a *č*

w nagłosie spółgłoskę *š*, która rozdziela dwa następujące tuż po sobie zwarcia.

A. Brückner w swoim *Słowniku etymologicznym języka polskiego* słusznie łączy ze sobą — jako pochodzące od tego samego pnia o odmiennej obocznej wokalizacji — nazwy owadów: *bąk* i *bczoła*, objaśniając je krótko: od *bęczenia*. *Bąk* i stp. *bczoła*, nazwy buczących owadów, zawierają w swym składzie morfologicznym alternujące formy pierwiastka onomatopiecznego **būk-*/**bøk-*. W nazwie pszczoły do pnia **bøk-* dodany został przyrostek *-el-a*, który autor cytowanego wywodu odnajduje też w nazwach ptaków: *dzięcioł*, *kwiczoł*.

W nazwie *Pczewa* tkwi ten sam pierwiastek: **bøk-*, przy czym nazwa ta — jak się wydaje — nawiązuje bezpośrednio do formy czasownika **bŕč-e-ti* «buczeć, bęczeć», tak jak np. nazwa *Świszczów*, określająca zapewne niegdyś jakieś odludzie, nawiązuje najprawdopodobniej do czasownika *świszczeć* i charakteryzowała okolicę nawiedzaną przez często wiejące tu wiatry, z właściwymi im głosami i świstami. Natomiast nazwa *Pzew(o)* jako nazwa łąk i pól pochodzić może od buczenia owadów albo też od ryku (buczenia) pasącego się tam bydła, na co częściowo zdaje się wskazywać imię sąsiedniej łąki: *Pczewo et Ryczywol*.

OBJAŚNIENIA SKRÓTÓW

- Koz. III — S. Kozierowski: *Badania nazw topograficznych dzisiejszej Archidiecezji Poznańskiej*, rocznik PTPN za 1916 r. (P-Z), Poznań 1916.
- Sł. geogr. — *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* pod red. F. Sulimierskiego [...], B. Chlebowskiego [...], W. Walewskiego [...], t. I-XV, Warszawa 1880-1902.

STARANIA LUCJANA MALINOWSKIEGO O KATEDRĘ FILOLOGII SŁOWIAŃSKIEJ NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM W ŚWIETLE JEGO LISTÓW

Od śmierci L. Malinowskiego, wybitnego krakowskiego językoznawcy z drugiej połowy XIX wieku, twórcy pierwszej w Polsce szkoły językoznawczej, zwanego też „ojcem dialektologii śląskiej”, minęło już 70 lat. W tym czasie ukazało się o nim sporo artykułów, przyczynków, recenzji i wspomnień, które mają niewątpliwie swoją wartość, gdyż zapisują fakty dla współczesnego badacza życia i twórczości Malinowskiego niedostępne. Ale mają też i swoje braki. Zgodnie z założeniami krótkich artykułów prasowych zawarte w nich wiadomości są bardzo ogólnikowe, często się powtarzają i rzadko opierają się na takich źródłach jak korespondencja prywatna. Opracowanie możliwie pełnej biografii uczonego wymaga z jednej strony szczegółowego przebadania jego korespondencji prywatnej, czego dotychczas ze zrozumiałych względów nie można było uczynić, z drugiej zaś strony zebrania dokładnych danych rozproszonych i rozrzuconych fragmentarycznie po różnych opracowaniach i czasopismach¹.

Nade wszystko nieocenione korzyści przynosi bogata i niezmiernie ciekawa spuścizna epistolarna Malinowskiego². Jest ona pewnego rodzaju „księgą o samym sobie”. Odbijają się w niej zainteresowania i poglądy naukowe charakteryzujące jego warsztat pracy. Dowodzi ona, że był on człowiekiem o szerokiej skali zainteresowań, żywo reagującym na sprawy epoki, w której przyszło mu żyć i walczyć z przeciwnościami losu, przede wszystkim ze wzmagającym się po powstaniu styczniowym uciskiem narodowym. Informuje ona również o jego stosunkach z ówczesnym światem naukowym. Krąg znajomych i przyjaciół był nader szeroki. Zachowały się bowiem jego listy kierowane do szeregu uczonych polskich i zagranicznych. Lektura to pasjonująca, jako że wychodziła spod pióra człowieka uczonego, znakomitego obserwatora i gorącego patrioty.

¹ Artykuł ten powstał w związku z przygotowaniem większej pracy o Malinowskim, pt. „Lucjan Malinowski a Śląsk”.

² Listy Malinowskiego znajdują się w bibliotekach: Krakowa, Warszawy, Wrocławia i Lublina.

Jednym z ciekawszych fragmentów ocalałego archiwum Malinowskiego są listy dotyczące jego starań o katedrę filologii słowiańskiej w Krakowie (4 listy), kierowane do Józefa Szujskiego (1835-1883), profesora historii Polski na Uniwersytecie Jagiellońskim, sekretarza generalnego Polskiej Akademii Umiejętności, pisarza, publicysty i poety. Powszechnie panuje przekonanie, że Malinowski został powołany na tę katedrę w 1877 roku. Tymczasem z ocalałych autografów dowiadujemy się o drodze, która po trudach prowadziła, pomimo ogromnych przeszkód i rozczarowań, do jednego celu — zdobycia pracy w ośrodku uniwersyteckim. Pokazują one nam człowieka i uczonego, który trudem własnego życia, siłą i hartem woli wywalczył sobie miejsce i możliwość pracy twórczej we własnym społeczeństwie. Bardzo ważnym pod tym względem okresem w życiu Malinowskiego były lata 1872-1877, dotyczące usilnych starań o wakującą katedrę filologii słowiańskiej w Krakowie po śp. Henryku Suheckim. Interesujący ten epizod, mało znany, a ciekawy, godny jest uzupełnienia na podstawie wyżej wymienionej korespondencji. Listy te należy traktować jako poufne materiały uzupełniające wiadomości zawarte w protokołach posiedzeń Rady Wydziału Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz w pracy „Wydział Filologiczny. Historia katedr”³.

L. Malinowski (1839-1898) urodził się w Jaroszewicach, w powiecie lubelskim, w pobliżu miasteczka Bełżyce. Gimnazjum ukończył w Lublinie w 1861 roku, a następnie wstąpił na wydział filologiczny do nowo otwartej Warszawskiej Szkoły Głównej. Wykształcenie, jakie zdobył w kraju, nie mogło wystarczyć dla przyszłego badacza naukowego. Toteż, jako wyróżniający się student, otrzymawszy stypendium naukowe, wyjechał — wraz z Janem Baudouinem de Courtenay — na dalsze studia do Niemiec. W latach 1867-1868 słuchali oni wykładów z gramatyki porównawczej A. Schleichera w Jenie, a następnie sanskrytu u A. Webera w Berlinie. W 1868 roku udali się do Petersburga, gdzie pod kierunkiem wybitnego sławisty rosyjskiego, I. Sriezniewskiego, studiowali gramatykę porównawczą języków słowiańskich i paleografię cerkiewnosłowiańską. Za radą tego uczonego Malinowski latem 1869 wyrusza na Śląsk w celu przeprowadzenia badań dialektologicznych. Była to pierwsza w Polsce naukowa podróż dialektologiczna, która w dziejach nauki polskiej wiąże się z wydarzeniami wielkiej miary. Dała ona bowiem początek naukowej dialektologii polskiej, której właściwym twórcą był uczeń Malinowskiego — K. Nitsch. Po wygaśnięciu stypendium sytuacja Malinowskiego była godna pożałowania. Nie mogąc zdobyć pracy w ośrodku naukowym objął on posadę zastępcy nauczyciela w gimnazjum św. Anny w Krakowie w 1870 roku. Pobyt w Krakowie nie

³ „Wydział Filologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Historia katedr” pod redakcją Witolda Taszyckiego i Alfreda Zaręby, Kraków 1964, s. 170 i nast.

trwał długo i przyniósł mu rozczarowanie⁴. Wiosną 1872 roku rzeka się tej posady i spieszy do Lipska, aby słuchać wykładów z językoznawstwa ogólnego u J. Curtiusa i gramatyki porównawczej języków słowiańskich u A. Leskiena. Spośród ówczesnych uczonych niemieckich najbardziej wyróżniał się swą indywidualnością Leskien, który był wybitnym sławistą. U niego też doktoryzował się Malinowski latem 1872 roku na podstawie rozprawy o gwarze opolskiej⁵. Po powrocie z Lipska w dalszym ciągu nie mógł znaleźć pracy w ośrodku naukowym, o czym marzył, i co było zgodne z jego ambicją i zamiłowaniem. Tymczasem zamieszkał w Warszawie i pracował tu w III gimnazjum żeńskim jako nauczyciel języków starożytnych aż do marca 1877 r. Na placówce tej nie czuł się dobrze. Mając za sobą doktorat, kilkanaście opublikowanych prac oraz zachętę ze strony krytyki naukowej, rozpoczął ponownie starania o pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim. O posadę tę ubiegał się już wcześniej, będąc jeszcze magistrem.

Jak wiadomo, po śmierci H. Sucheckiego, który pracował tu w latach 1865-1872, obsadzenie katedry filologii słowiańskiej w Krakowie nie było rzeczą łatwą z powodu braku odpowiednio wykwalifikowanych kandydatów⁶. Pierwszymi kandydatami, którzy zgłosili się tu prywatnie byli: L. Malinowski i J. Radwański z Krakowa. Obydwu kandydatów opiniował najwybitniejszy przedstawiciel slawistyki wiedeńskiej — F. Miklosich. Uznał on jednak obydwu kandydatów za słabo przygotowanych, rokując Malinowskiemu dobre nadzieje na przyszłość. Po upływie dwu lat (1874) zwrócono się z propozycją do J. Baudouina de Courtenay, który jako stypendysta rządu rosyjskiego, zobowiązany do pracy w uniwersytetach rosyjskich, nie mógł tej propozycji przyjąć. Proponowano jeszcze to stano-

⁴ Pisze o tym w liście do swego profesora z Warszawskiej Szkoły Głównej Antoniego Mierzyńskiego: „Od chwili przybycia do Krakowa jestem zupełnie odcięty od ruchu naukowego na świecie. Tutejsza biblioteka, mając zbyt szczupłe środki, musi się ograniczyć do zaopatrywania swych półek tylko arcydziełami domorosłej literatury. Szczególnie czuję niedosyt książek ruskich... Siedząc w tej Pompei, bez popiołu i lawiny, można za życia umrzeć. Gdyby nie Baudouin, który listami swymi zagrzewa mnie i dodaje otuchy, spopielałbym... Z początku człowieka boli to rdzewienie, to zamieranie, powoli jednak usprawiedliwia lenistwo zajęciami obowiązkowymi, brakiem czasu, nadmiarem pracy, a zresztą p.p. ABCX nie robią nic, a dobrze, po cóż więc wyróżniać się. To zuchwalstwo, chęć wyniesienia się, sprzeniewierzenie zasadzie demokratycznej. Lecz dajmy rozprawa jest. Co z tym fantem zrobić? Ogłosić w obcym języku? — zdrada. Swojsko? Kto wydrukuje, kto przeczyta? Czasopisma ciał uczonych przystępne tylko bratmanom... Pariasy, nieczyste plemię zastępców nauczycieli niech się trzymają z dala. Zresztą pachołki te i nie marzą o pracach naukowych. Chudzina, wysłuchawszy 6 seminariów na «akademii» nie robiąc nic, nie czytając nic, prócz tego, co musi, zostaje suplentem. Teraz dopiero zaczyna myśleć «o robieniu egzaminu»”. List ten zachował się w Bibliotece Miejskiej w Warszawie, bez daty.

⁵ L. Malinowski: „Beiträge zur slavischen Dialectologie”. I *Über die oppelnsche Mundart in Oberschlesien* (1. Heft: *Laut- und Formenlehre*), Leipzig 1873.

⁶ „Wydział Filologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego [...]”, op.cit., s. 170.

wisko W. Nehringowi — profesorowi Uniwersytetu Wrocławskiego i Józefowi Przyborowskiemu — profesorowi byłej Warszawskiej Szkoły Głównej, którzy nie wyrazili zgody na przejście do Krakowa. W tych okolicznościach wydawałoby się, że szanse Malinowskiego wzrosły. Istotnie, ostatecznie wzięto pod rozwagę osobę Malinowskiego, lecz nieoczekiwanie sprawa zaczęła się komplikować wobec zgłoszenia się na to stanowisko Emila Kałużniackiego, nauczyciela gimnazjalnego we Lwowie. Przyjętym zwyczajem oceny kwalifikacji dokonał Miklosich. Tym razem wiadomość znowu była niepomysłna. Konkurs wypadł na korzyść Kałużniackiego, ponieważ ten w pracach swych uwzględniał kilka języków słowiańskich, podczas gdy prace Malinowskiego ograniczały się tylko do polszczyzny. Nie bez znaczenia mógł tu być także fakt, że Kałużniacki był uczniem Miklosicha. Na tej podstawie Rada Wydziału Filologicznego zdecydowała niewielką liczbą głosów, dnia 7.IV.1875 roku powierzyć katedrę Kałużniackiemu. Nominacja jego nie doszła do skutku, ponieważ mianowano go profesorem slawistyki w nowo utworzonym niemieckim uniwersytecie w Czerniowcach. W tej sytuacji Rada Wydziału jednomyślnie uchwaliła 18.XII.1875 r. przedstawienie Ministerstwu Oświaty w Wiedniu kandydatury Malinowskiego. Tak więc losy zrzuciły, że Malinowski po raz trzeci stał się pretendentem do tej katedry. Po roku oczekiwania otrzymał upragnioną wiadomość i marzenia jego spełniły się. Nareszcie po tylu latach starań został mianowany 23.XI.1876 r. profesorem slawistyki w Uniwersytecie Jagiellońskim, lecz na stanowisko to powołano go dopiero w marcu 1877 r. Od tego czasu następny z górą dwudziestoletni okres w jego życiu niepodzielnie związany był z Krakowem, który dzięki Malinowskiemu stał się poważnym ośrodkiem pierwszej w Polsce myśli językoznawczej. Tu dopiero objawiła się jego wszechstronna i pełna inicjatywy działalność pedagogiczna, organizacyjna i naukowa. Tu uświadomił sobie wśród ciężkich zmagañ swoją misję i zrozumiał jasno konieczność stworzenia podstaw rozwoju nowoczesnej nauki, zgodnej z potrzebami narodu.

Zagadnienia związane z ubieganiem się Malinowskiego o posadę w Krakowie znalazły swój bezpośredni wyraz w relacji samego Malinowskiego. Zwierzał się w listach do J. Szujskiego, które w całej rozciągłości popierają tezę, że lata 1872—1877 były w życiu tego uczonego okresem wyteżonych starań i przykrych rozczarowań, uwieńczonych ostatecznie sukcesem Malinowskiego. Przeżycia wyrażone w listach zawierają zrozumiałe i uzasadnione pierwiastki emocjonalno-dramatyczny. Ogarniała go rozpacz na widok beznadziejnych, wydawałoby się, starań. Tracił wiarę. Jeszcze czarniejsze uczucia miały nim później, gdy otrzymał wiadomość o zwycięstwie Kałużniackiego. Padały gorzkie słowa, miarkowane chęcią zdobycia tej posady. Z korespondencji przebija nadzieja i upór w dążeniu do celu.

Warto w tym miejscu nadmienić, że sytuacja Malinowskiego pod tym względem nie była wyjątkowa. W tym okresie w analogicznych warunkach znajdowało się i pracowało wielu entuzjastów nauki, którzy trudem wła-

snego życia dochodzili częstokroć do imponujących osiągnięć naukowych. Dla przykładu można tu wymienić: Oskara Kolberga, J. Baudouina de Courtenay, W. Nehringa i wielu innych. Trudny to był okres zdobywania pozycji w społeczeństwie polskim, która dałaby możliwość zużytkowania sił i zapału badawczego dla dobra nauki polskiej. Jakże wymowny, nabrzmiały żalem i patriotyzmem jest list do Szujskiego z dnia 26 lipca 1874 r., w którym czytamy: „Klęską dla mnie było to głównie, **żem** porzucił Rosję, **żem** zerwał stosunki w Petersburgu, że mając otwartą karierę naukową wyrzekłem się jej **dobrowolnie** po to, aby zostać suplentem w Krakowie, kolegą p.p. Gołosińskich i Trupkowskich. Że w Rosji wyrzekłem się kariery naukowej **dobrowolnie**, to świadkiem tenże Baudouin, świadkiem prof. Sriezniewski i Łamański. Prawda, że zdolnością i pilnością nie dorównam Baudouinowi, ależ miły Boże, na bezrybiu i rak ryba, a w Rosji byle coś po rusku napisać to i uczość gotowa. Ale trzeba było pisać po rusku. Tegom nie czynił. Teraz może żałuję”. Mając możliwość robienia kariery naukowej w Petersburgu, nie mógł się pogodzić z myślą pracy dla obcego, zaborczego państwa, gdyż czuł się Polakiem i rozumiał swoje powołanie jako nieustanną służbę społeczną dla własnego narodu⁷.

Edycja niniejszych rękopisów obejmuje listy Malinowskiego zachowane w Bibliotece im. Ossolińskich we Wrocławiu pod sygnaturą 5770 I (3 listy) i 12185, (1 list). Pomimo poszukiwań nie udało mi się odnaleźć listów Szujskiego do Malinowskiego, które tworzyłyby dwugłos w tej sprawie.

⁷ W Sprawozdaniu sekretarza generalnego z czynności Akademii Umiejętności, zamieszczonym w Roczniku Akademii Umiejętności, Kraków 1897—1898 znajduje się wspomnienie pośmiertne poświęcone Malinowskiemu, w którym na s. 59 czytamy: „[...]Jako uczonec odznaczał się znamienym piętnem, które go wyróżniało między innymi. Po śmierci Szujskiego, nie wiem, czy ktokolwiek z nas mógł się z nim równać w miłości przedmiotu, który uprawiał. A była to miłość gorąca [...] Malinowski [...] był zawsze i wszędzie, a przede wszystkim w swej pracowni Polakiem. Mężem nauki nigdy być nie przestawał [...]”.

(1)

Lipsk, 21 lipca 1874
Aleksanderstr[asse] 20. Parterre

Szanowny Panie Profesorze Dobrodzieju!

Dowiedziałem się od Baudouina¹, że starania o pozyskanie go do Krakowa spetzły na niczym. Sądziłem więc, że pole ubiegania się o katedrę po śp. Sucheckim² otworzyło się dla mnie na powrót. Dlatego też zwróciłem się listownie do profesora Miklosicha³ z prośbą o pomoc.

Ponieważ wiem, jak wiele wagi przywiązuje się w Krakowie do zdania tego uczonego, ośmielam się Szanownemu Panu zakomunikować w kopii Jego odpowiedź, którą dziś otrzymałem. Brzmi ona jak następuje:

„G[eehrter] H[err] D[oktor]! Ich wünsche, dass die in Ihrem Schreiben vom 12. Juli berührte Angelegenheit auf eine Ihnen günstige Weise entschieden werde, und bin gerne bereit hierin Ihren Absichten zu dienen. Ob ich jedoch in Lage komme für Sie etwas zu tun, ist nicht ausgemacht, da ich in diesen Angelegenheiten nicht relmässig um Rath gefragt werde. Ist von Ihren polnischen Dialektforschungen eine Fortsetzung erschienen?

Mit Ac[htung]

Miklosich
Wien, 19 Juli 1874”.

Teraz zanoszę do Szanownego Pana gorącą prośbę. Niech Pan Profesor nie odmówi mi tej łaski i doniesie stanowczo i bez ogródek: jakie widoki mogą mieć przy ubieganiu się o katedrę fil[ologii] sł[owiańskiej] przy Uniw[ersytecie] Jagiell[ońskim], i jakie środki mam przedsięwziąć dla dopięcia pożądanego celu; czy bytność moja w Krakowie może co pomóc? lub, czy kandydatura moja zupełnie upadła? Najsmutniejsza pewność lepszą będzie dla mnie, aniżeli zawiedzenie, w którym znajduję się od lat kilku. Oczekując rychłej odpowiedzi, pozostaję z najgłębszym szacunkiem i poważaniem Szanownego Pana Profesora

śluga Lucjan Malinowski

Ps. Do 10 sierpnia zabawię w Lipsku, po 15 sierpnia adres mój: Warszawa, ul. Oboźna 4.

¹ Jan Baudouin de Courtenay (1845-1929), prekursor językoznawstwa strukturalnego, a zwłaszcza praskiej szkoły fonologicznej, por. W. Doroszewski: *Jan Baudouin de Courtenay na tle swej epoki i jako prekursor nowych prądów w językoznawstwie*, „Nauka Polska” 1955, s. 47-58.

² Henryk Suchecki (1811-1872), językoznawca, profesor języka i literatury polskiej w Pradze w latach 1857-1865, następnie profesor filologii słowiańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

³ Franciszek Miklosich (1813-1891), językoznawca słoweński, sławista, profesor uniwersytetu wiedeńskiego.

(2)

[Lipsk, 26 lipca 1874]
[Aleksanderstrasse 20. Parterre]

Szanowny Panie Profesorze Dobrodzieju!

Przed wszystkim winienem się usprawiedliwić przed Panem Profesorem z wyrazów, które zawiera list mój przedostatni.

Kłęski moralne! tak, doznałem w Krakowie klęsk moralnych, nie przeto, że Baudouina postawiono wyżej nade mnie. Uchowaj Boże. Jeżeli czym w życiu zgrzeszyłem, to nigdy dumą i zarozumiałością. Klęską dla mnie było to głównie, że zerwałem stosunki w Petersburgu, że mając otwartą karierę naukową wyrzekłem się jej dobrowolnie po to, aby zostać suplentem⁴ w Krakowie, kolegą p.p. Gołosińskich i Trupkowskich. Że w Rosji wyrzekłem się kariery naukowej dobrowolnie to świadkiem tenże sam Baudouin, świadkiem prof. Sriezniewski⁵ i Łamański⁶. Prawda, że zdolnością i pilnością nie dorównam Baudouinowi, ale miły Boże, na bezrybiu i rak ryba, a w Rosji byle coś po rusku napisać, to i uczoność gotowa. Ale trzeba było pisać po rusku. Tegom nie czynił. Teraz może żałuję. A wie Pan Profesor, co mnie boli. Otóż właśnie to, że wobec prześladowań Polaków przez Rosjan w Krakowie i to przy pomocy p.p. Diaczanów i innych tzw. galicckich ruskich, zapewne krewnych i współwyznawców politycznych p. Kałużniackiego⁷, cóż sami Rusini stawiają i w Krakowie przeszkody Polakom. Ale do rzeczy. O Skibie⁸ nic nie wiem. Czyby jakie nieszczęście? Zdjąwszy pychę z serca, przyjechałbym do Krakowa, aby poczynić poprawki w rękopismie Wacława⁹, ale i: 1. mam opłacone tu mieszkanie do 10 sierpnia, 2. uczę się tu języka sanskryckiego u Dra Kuhna¹⁰, i serbskiego u jednego Serba, 3. rozłożyłem się z robotą o narzeczu morawsko-polskim na Śląsku¹¹ — mam tu książki potrzebne od prof. Leskiena¹² itd. Zresztą poprawki redukują się do kilku miejsc: mianowicie 1. Idąc za śp. Sucheckim wziąłem ślady liter na fotografiach za ślady zeszkrobanego palimpsestu¹³. Tymczasem, jak słusznie utrzymuje p. Fajans (litograf) są to litery przebijające ze strony przeciwnej. 2. W tekście Psalterza Floriańskiego należy poczynić poprawki według wskazówek prof. Nehringa¹⁴. Wszystkie te poprawki mogę zrobić snadnie przy korekcie, i dlatego sędzę, że przysyłać rękopism jest rzeczą zbyteczną.

⁴ Suplent — w byłym zaborze austriackim zastępca nauczyciela w szkole średniej.

⁵ Izmail Sriezniewski (1812-1880), sławista rosyjski, profesor uniwersytetu petersburskiego.

⁶ Włodzimierz Łamański (1833-1894), sławista rosyjski, profesor uniwersytetu petersburskiego, uczeń Sriezniewskiego.

⁷ Emil Kałużniacki (1845-1914), filolog słowiański, z pochodzenia Ukrainiec. Pracował jako nauczyciel języka ukraińskiego w gimnazjach: Rzeszowa, Krakowa i Lwowa, a następnie jako profesor sławistyki w uniwersytecie czerniowieckim.

⁸ Nazwisko trudne do zidentyfikowania. Może być: 1. Edward Skiba (1843-1886), fizyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. 2. Wołody Skiba (1837-1888), pseudonim literacki Władysława Sabowskiego, głośnego pisarza i publicysty, zamieszkałego w Krakowie.

⁹ Mowa o pracy Malinowskiego: „Modlitwy Wacława”, Kraków 1875, wyd. I.

¹⁰ Adalbert Kuhn (1812-1881), uczonec niemiecki, twórca tzw. archeologii językowej i porównawczej mitologii, założyciel i redaktor czasopisma „Zeitschrift für vergleichende Sprachforschung”.

¹¹ Pracy tej Malinowski nie opublikował.

¹² August Leskien (1840-1916), językoznawca niemiecki, jeden z twórców tzw. szkoły młodogramatyków, profesor filologii słowiańskiej w Lipsku.

¹³ Palimpsest — z grec.-łac. pergamin, z którego ścierano później pismo, aby go móc na nowo zapisać.

¹⁴ Władysław Nehring (1830-1909), profesor filologii słowiańskiej w Uniwersytecie Wrocławskim, autor pracy: „Iter Florianense. O Psalterzu Floryańskim łacińsko-polsko-niemieckim, w szczególności o polskim jego dziale”, Poznań, 1871, s. 126, 8-ce.

Co się tyczy katedry filologii słowiańskiej to jużem się z nią był pożegnał, nadzieje pogrzebałem, a żale ukoilem. Jeżeli Panowie mają kogo, godnego zająć to stanowisko, rad będę temu tak, jak cieszyłem się z pozyskania Baudouina. Lecz przeciwko panu Kałużniackiemu pragnąłbym walczyć bodajby na noże. Jest to sprawa społeczna. Czyby *ex-minister Jireček*¹⁵ nie był w czym pomocny?

Do października będę przynajmniej w części gotów z rozprawą o narzeczu p[olsko]-morawsk[im]. Tymczasem mają w tych dniach przystąpić do druku mego artykułu o ros[yjskim] genitiwie w *Beitr[ä]ge zur vergl[eichenden] Sprachforschung*¹⁶.

Zwracam uwagę Pana Profesora, że tylko do 10 sierpnia zabawię w Lipsku, i że po 15 sierpnia adres mój: Warszawa, Oboźna 4. Proszę o łaskawe wybaczenie mi wszystkiego, czym mogłem Szanownego Pana Profesora obrazić i łączę zapewnienia najgłębszego szacunku i poważania Szanownego Pana Profesora Dobrodzieja.

Lipsk, 26 lipca 1874
Aleksanderstrasse 20. Parterre
sługa Lucjan Malinowski

(3)

[Warszawa, 5 września 1875]

Szanowny Panie Profesorze Dobrodzieju!

Od Dra Załęskiego¹⁷, który właśnie wrócił z Krakowa, dowiaduję się, że p. Kałużniacki został zamianowany profesorem Uniwersytetu Czerniowieckiego, i że wskutek tego katedra filologii słowiańskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim pozostaje wakuującą.

Pomimo tylu klęsk, które mnie jako kandydata do tej katedry spotkały, ja jednakże pragnę wytrwać do ostatka i uczynić wszystko, co tylko ode mnie zależy, aby celu zamierzonego dopiąć. Dlatego też, licząc na łaskawą opiekę mej sprawy ze strony Szanownego Pana Profesora, zwracam się do Niego i tym razem, z gorącą prośbą o wskazanie mi, co wobec takiego stanu rzeczy czynić mi wypada. Obawiam się, czy gazety, które, jak słyszę, silnie powstawały na promotorów Kałużniackiego, nie zaszkodziły mi swymi niewczesnymi krzykami. Jak moich przeciwników przebłagać? Co począć? Ten stan ciągłej niepewności, te ciągłe przejścia od nadziei do zawodu, odbierają mi ostatek energii. Jeżeli jakiegokolwiek kroki w tej chwili z mojej strony są potrzebne, upraszam o łaskawą wskazówkę. Polecając się Szanownemu Panu Profesorowi Dobrodziejowi, łączę wyrazy najgłębszego szacunku i poważania

najniższy sługa Lucjan Malinowski

Warszawa, Oboźna 4, 5 września 1875 r.

¹⁵ Józef Jireček: (1825-1888), czeski historyk literatury, w 1871 roku był austriackim ministrem oświaty.

¹⁶ Mowa o pracy Malinowskiego: *Über die Endung sing. masc.-neutr. der pronominalen und zusammengesetzten Declination im russischen und kaschubischen*, „Beiträge zur vergleichenden Sprachforschung auf dem Gebiete der arischen, celtischen und slavischen Sprachen” 1874, VIII, s. 356-362.

¹⁷ Prawdopodobnie Witold Załęski (1836-1908), ekonomista warszawski, nauczyciel gimnazjalny. Autor wielu prac i rozpraw naukowych.

(4)

Warszawa, 1 lipca 1876

Szanowny Panie Dziekanie Dobrodzieju!

Na wczorajszej konferencji gimnazjalnej, ostatniej przed wakacjami, p. Dyrektor zapytał mnie, czy nie mam jakich wiadomości z Krakowa, na których podstawie mógłbym coś stanowczego wyrzec, o ile udział mój w pracach gimnazjalnych w roku przyszłym szkolnym może być zapewniony. Wiadomość ta jest potrzebna, gdyż rozdział zajęć szkolnych, sporządzony przed wakacjami uwzględnić musi indywidualne uzdolnienie itp. każdego nauczyciela. Przed kilku miesiącami doszła mnie ubocznie wiadomość, jakoby sprawa obsadzenia katedry fil[ologii] sł[owiańskiej] w Krakowie została rozstrzygnięta w Wiedniu na moją niekorzyść. Nic jednak pewnego w sprawie tak blisko mnie obchodzącej dotąd nie wiem. Ośmielam się więc prosić najuprzejmiej Szanownego Pana o łaskawe doniesienie mi (jeżeli zachowanie tajemnicy nie jest konieczne), o ile pogłoska moja jest prawdziwą, jak niemniej, czyby nie było jeszcze jakiego środka dopięcia upragnionego przeze mnie celu. Powiadano mi, że obecnie docenci prywatni uniwersytetów austriackich otrzymują remunerację w ilości 600 zł rocznie. Jeżeli tak jest, gotów bym jako docent lub też zastępca profesora pracować dla Uniwersytetu i Akademii w Krakowie, gdybym wszakże miał pewność, że po jakimś czasie, np. po roku, uzyskam zatwierdzenie w charakterze profesora. Uczyniłbym to tym chętniej, ile że: z jednej strony brat¹⁸ mój, kończący w tym roku medycynę, będzie w stanie część obowiązków rodzinnych, ciężących dotąd na mnie, wziąć na siebie; z drugiej, że coraz bardziej wyężone wymagania w gimnazjum co do filologii klasycznej zniewoliłyby mnie do wzięcia stanowczego rozbrata z pracami około gramatyki polskiej, gdybym nadal został przy gimnazjum. To zaś byłoby dla mnie tym boleśniej, że w ostatnich czasach z kilku stron otrzymałem zachętę do dalszej pracy około historii języka polskiego. Bogate materiały do dialektologii polskiej, które posiadam, również pleśniej i zaledwie dorywczo tylko mogę zaglądać do nich. P. Drinow¹⁹, Bułgar, prof. uniwersytetu charkowskiego, z którym się tu poznałem, mówił mi, że p. Jireček, b[yły] minister, nader pochlebnie wspominał o moich pracach, zwracając na nie uwagę p[ana] Drinowa. Nie znam go wprawdzie, i dlatego nie wiem, czyby wypadało zwrócić się do Niego o poparcie mojej sprawy w Wiedniu. Powierzając się względem Szanownego Pana Dziekana Dobrodzieja, łączę zapewnienie najgłębszego szacunku i poważania

najniższy sługa Lucjan Malinowski

¹⁸ Alfons Malinowski, ur. w 1850 r., ordynator szpitala dziecięcego w Warszawie.

¹⁹ Marin Drinow, historyk bułgarski (1838-1906), autor pracy: „Pochodzenie narodu bułgarskiego i początki historii bułgarskiej”, 1869.

LINDE NIE TYLKO SŁOWNIK STWORZYŁ

Biblioteka Instytutu Badań Literackich, gnieźdząca się w Pałacu Staszica, musiała wysortować parę dzieł posiadanych w nadmiernej liczbie egzemplarzy. Dzięki temu stałem się niespodziewanie właścicielem książki Mariana Łodyńskiego pt. „Materiały do dziejów państwowej polityki bibliotecznej w Księstwie Warszawskim i Królestwie Polskim (1807-1831)” (Ossolineum 1958; na jej treść, poza 14-stronicową przedmową i szczegółowym skorowidzem, składają się 2 części: 157 pozycji akt i korespondencji oraz 158 protokołów sesji bibliotecznych).

Może kto z czytelników pomyśli, że to musi być dość nudny temat, ale uczciwie zapewniam o mylności takiego mniemania. Znam człowieka, który wybrał tę książkę na lekturę wakacyjną, i wcale mu się nie dziwię. Wertującego owe „Materiały” uderza już na pierwszej stronie przedmowy następujący przypis:

„Ileż to bowiem jest polskich dowcipów [!], którym fortuna ubliżyła majątku, którzy i na sławnych autorów, i na wielkich a użytecznych krajowi i rządowi ludzi wynijść by mogli; te dowcipy nikną przeto, że potrzebnych do nauki książek kupić nie mają z czego”.

Zaskoczony czytelnik gotów wziąć te słowa o dowcipach, „którym fortuna ubliżyła majątku”, za dziwny żart, kawał. Tymczasem to ani żart, ani kawał, lecz wyjątek z „Planu instrukcji i edukacji”, przepisanego przez Komisję Edukacji Narodowej dla Szkół Głównych i innych w Polsce. Słowo *dowcip* ma wielorakie znaczenie, o czym informuje każdy słownik; wśród tych znaczeń **znajdują** się i takie: «bystrość umysłu, talent, zdolność». Gdy więc na miejsce „dowcipów” wstawimy „ludzi zdolnych”, wówczas przytoczony fragment stanie się zupełnie jasny, szczególnie gdy się zorientujemy, że słowo *ubliżyła* znaczy w tym zdaniu «poskaپیła».

Ale to za ledwie pierwsza z brzegu ciekawostka, tych zaś dostarczają „Materiały” niemało. Ot, choćby słowo *fabryka*. Dziś, w dobie szybkiego uprzemysławiania kraju, jest ono powszechnie zrozumiałe (mamy już także fabryki domów). A jak tego słowa używano dawniej? Niech to powiedzą cytaty z książki Łodyńskiego: „[...] z Gabinetu Rycin [trzeba było] wszystkie szafy wyprowadzić z powodu łamania murów, przerabiania sal [...]. Fabryka rzeczona ciągnęła się do nadejścia mrozów” — pisał Linde do ministra Stanisława Grabowskiego na początku 1830 r. „[...] poleconym zostało budowniczemu, aby natychmiast rozpoczęto restaurację lokalu na

Biblioteki rozprzestrzenienie i aby w ciągu trzech miesięcy fabryka ta ukończona była” — zapisano w protokole sesji bibliotecznej (3.V.1823). Oczywiście, w obu cytatach *fabryka* znaczy «praca, robota (łac. *fabrica*)».

Poprzednie ustępy artykułu nie tłumaczą jeszcze, skąd się wziął jego tytuł. Skoro „Linde nie tylko Słownik stworzył”, to czego jeszcze dokonał? Otóż bodajże nie mniej ważnej rzeczy, albowiem właśnie Samuel Bogumił Linde (1771-1847), obok innych funkcji, pełnił także obowiązki dyrektora generalnego Biblioteki Publicznej przy Szkole Głównej (dziś UW). Jest on tym sprawcą, którego ustawiczna troska i niezmordowane trudy uczyniły tę Bibliotekę bogatym księgozbiorem. Słowa „niezmordowane trudy” nie są frazesem. Komisja WR i OP poleciła 11.V.1819 r. „ażeby współczłonek jej Linde, Dyrektor Generalny Biblioteki Publicznej, obejrzał biblioteki instytutów religijnych do zniesienia przeznaczonych, z władzą oddzielenia książek według swego uznania zdalnych na użytek publiczny i do odesłania ich do tutejszej Biblioteki”. Chodziło o biblioteki klasztorne rozsiane na obszarze kilku województw.

Linde niezwłocznie wyruszył w objazd i już 26.V. donosił ministrowi Stanisławowi Kostce Potockiemu: „Najprzyjemniejszym będzie dla mnie obowiązkiem donosić od czasu do czasu JWPanu Dobrodziejowi o powodzeniu i skutku książkowej mojej podróży”. Wyliczywszy następnie zdobyte poczynione w Płocku i Czerwińsku, tak dalej pisał: „Gdy się zanosi na bardzo znaczną zdobycz, zatem wnoszę, że zawczasu potrzeba obmyślić i potrzebną lokalność, i pomoc dla jej spisowania i rozgatunkowania. [...] Zanosi się na to, że z głównego składu Biblioteki Publicznej Narodowej Warszawskiej kolejno zaopatrywane będą biblioteki seminariów i szkół wojewódzkich; tym sposobem na miejsce próżnujących i zgniłych bibliotek klasztornych kraj będzie miał w różnych miejscach i województwach porządnie urządzone, utrzymane, bo dozorowane biblioteki”.

Niektóre fragmenty pana Lindowych raportów czyta się jak barwne wspomnienia. Oto co pisał po bytności w Łądzie: „Lecz wszystko, co poprzedziło, a nawet Czerwińsk, nic nie znaczy w porównaniu do Łądu, gdzie zastałem w bardzo pięknym lokalu i ozdobnych szafach do 5000 książek, z których 3208 sztuk odłączyłem. [...] We wszystkich dotąd przejrzanych bibliotekach postrzegłem wielki brak dawniejszych pism polskich; łatwo się domyślić, że spomiędzy wszystkich najwięcej miały lubowników. [...] Wszędzie dokazywał śp. Czacki, w Łądzie miał kiedyś cały tydzień przesiedzieć”.

Nie wszędzie „odłączanie” książek szło gładko, czytamy bowiem w tymże raporcie: „Dnia 11 czerwca w Uniejowie pierwszy raz doznałem niepowolności dla rozkazów Rządowych. Archidiakon L., a za nim tameczny ksiądz Surrogat, formalną uczynili opozycję, z uchybieniem nawet zwyczajnej dla każdego grzeczności, gdym się zaś pomimo tego wszystkiego wziął do rewizji przy asystencji burmistrza, czynili mi wciąż przeszkody, jakie tylko wymyśleć mogli. [...] Z tym wszystkim odliczyłem z liczby 1302

książek sztuk 641, zostawując im większą połowę, a to nie samych wyrzutków, jak oni je nazwali, lecz użyteczne dla nich książki, byleby czytać chcieli i korzystać umieli”.

Do pomocy Lindemu w „podróży książkowej” dodano Wiktora Skarbka, o którym czytamy: „Tu już nasz Skarbek pocziwy ustał, zatem chociaż bardzo żałuję oczu Pańskich, odważyć się muszę resztę własną moją z nieczytelności sławną ręką dopisać”. O pewnej bibliotece kaliskiej wyraził się nasz łowca książek dosadnie: „Chociaż ta co do zgnilizny, pleśni, kurzu, smrodu nie ustępuje Paulińskiej w Warszawie, atoli zabrałem z niej 390 książek [...]”.

Obok wspomnianego wyżej archidiakona może stanąć przeorysza z Wielunia: „U Panien Bernardynek nie było wprawdzie co brać, jednak 14 sztuk odłączyłem. Nawiasem tu wspomnieć muszę, że Przeorysza Panna W. ze złości, że się ma przenieść na inne miejsce w Wieluniu, niszczy budynki i zabiera co tylko może, gonty z dachów pozrywa [!], nawet lipy naokoło kościoła ściąć i spalić kazała. Trzeba koniecznie, żeby Komisja nasza niezwłocznie złemu tamę położyła. Jejmość ta albowiem tak ufa w jakąćś protekcję wojewódzką, że Komisarz Obwodowy rady jej dać nie może”. Tu warto zanotować, iż ten raport pisano w czerwcu 1819 roku, a więc tak się działo ponad 150 lat temu. Nawiązując zaś do dzisiejszej akcji „od czystości do gospodarności”, pozwolę sobie zauważyć, że już Linde coś podobnego stwierdził: „Odesłanie tej ważnej wieluńskiej zdobyczy [chodziło o rękopis łaciński z XV w.] zdałem na tegoż Szanownego Komisarza, o którym jeszcze nadmienić muszę, że w czasie dwurocznego urzędowania przerobił Wieluń nie do poznania. Rynek uprzątniony, wody ściągnięte, kanał czysty, piękny, koło niego spacer przyjemny”.

Rewizje niektórych bibliotek były szczególnie przykre, na przykład: „U zgasłych od niejakiego już czasu Franciszkanów uratowałem od wiecznej zguby w spiżarni między półciami i schabami książek 600, które przy sobie w cztery paki zabić kazałem; podobnież tamże u Dominikanów ze stosu książek albo raczej zgnitek na kupie jak siano leżących tyle, że nimi wielkie paki zapełniłem”.

Czy opisane trudy napełniły Lindego goryczą, odebrały mu pogodę ducha? Bynajmniej, bo w tym samym raporcie pisał: „Tegoż dnia na noc założyłem główną kwaterę w Łęcznie u przyjaciela mego pana Mateusza Maruszewskiego [...] skąd atak przypuszczam na wszystkie miejsca nad Pilicą leżące. Już Sulejów wzięty, niewolnika rozmaitego stopnia jest 2 312; te (choć to wielka nieprzyzwoitość, lecz bieda przymusza) zamknąłem w 66 beczkach nowych, właściwie przeznaczonych na wapno sulejowskie, nie dla takich gości. [...] Jak wszystkie zdobycze, da Pan Bóg, szczęśliwie staną w Warszawie, p. Lelewel, Bibliotekarz nasz, będzie mógł wydać drugą, poprawną i pomnożoną edycję Panzera Annales Typographici”.

W raporcie pisany w Kielcach jest ciekawa wzmianka o Częstochowie: „Być w Mstowie a nie zwiedzić Jasnej Góry, to by było tyle, ile być

w Rzymie a papieża nie widzieć. Przyjęty byłem na Jasnej Górze z jak największą uprzejmością. Co tam ludu, co tam nabożeństwa; co tam pomników, klejnotów (Czerwińskie skarby tu ani warte wspomnienia). [...] Zastałem ruch wielki co do uprzątnięcia rozwalin fortecznych. Bibliotekę utworzyli mi z największą grzecznością [...]. Przebiegłem zatem wraz z nimi w ozdobnej tej Bibliotece katalog tak świeży, jako też osobliwie dawny z r. 1764, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy tak dalece nic osobliwego nie znalazłem, że nawet [...] dwudziestu dzieł szczególniejszych dobrać nie mógł, wziąłem zatem tylko dziesięć”.

W Kielcach dogoniła Lindego „szanowna odezwa” min. Potockiego, co znalazło odbicie w raporcie: „Nieskończenie mnie martwi, iż zdrowie Pańskie, które tak mocno cały kraj obchodzi, nie tyle się polepsza, ile wszyscy życzymy. [...] Chwała Bogu, że cenzurowe zatargi, które mnie niepomąłu zmartwiły, taki dobry obrót wzięły; nade wszystko mnie cieszy, że Polska nasza wsławi się wkrótce dziełami smakowymi, sztychami pomników krakowskich, a jeszcze bardziej widokiem naszych gmachów szkolnych, uniwersyteckich, bibliotecznych, muzeów, obserwatorium, botanicznego ogrodu itd. Życzę jedynie, żeby wszystko zostało skutecznym ze zupełnym zadowoleniem zamysłów Pańskich”.

Chciałoby się jeszcze to i owo z „książkowej podróży” Lindego przytoczyć, ale sumienie (było się przed wojnami skautem...) już mi podszeptuje: nie męcz bliźnich. Przeto kończę wakacyjną gawędę podsumowaniem wyników owej sławnej wyprawy: podróż objęła sześć województw (krakowskie, sandomierskie, kaliskie, płockie, lubelskie, mazowieckie), na ich terenie zrewidowano biblioteki klasztorne i kolegiackie w czterdziestu miejscowościach, a w rezultacie stołeczna Biblioteka Publiczna wzbogaciła się o 42577 książek, w tym 938 rękopisów. Podróż trwała ogółem 114 dni, mil zaś „objechanych” wypadło 274.

Skoro się w dodatku zważy, że w owych czasach nie krążyły jeszcze po naszych ziemiach pociągi ani autobusy, że więc całą tę wielomilową podróż Linde odbył konnymi pojazdami — to któż nie uzna tej drugiej, obok Słownika, wielkiej zasługi Lindego?

Danuta Buttler

Z ZAGADNIENÍ METODYCZNYCH POCZĄTKOWEGO KURSU POLSZCZYZNY JAKO JĘZYKA OBCEGO

I. „ZAPLECZE TEORETYCZNE” NAUCZANIA JĘZYKA POLSKIEGO

Nie trzeba nikogo przekonywać o tym, jak wielką rolę w nauczaniu języka obcego odgrywa odpowiedni dobór wdrażanych struktur i metod ich prezentacji. Tym bardziej więc można ubolewać nad tym, że metodyka nauczania polszczyzny jako języka obcego jest ciągle jeszcze „dyscypliną przyszłości”, że zdecydowanie nie dotrzymuje kroku dynamicznemu rozwojowi różnych form kształcenia cudzoziemców (por. polskie lektoraty na uczelniach zagranicznych, lekcje w Ośrodkach Kultury Polskiej, kursy wakacyjne w Polsce itp.). Można się wprawdzie pocieszać tym, że najlepsze rozwiązania metodyczne nasuwają się w praktyce, można wierzyć w samorodną niejako inwencję i talent pedagogiczny wykładowców języka polskiego. Problem polega jednak na tym, że doświadczenie metodyczne zdobywa się po wielu latach pracy, że z setek czynnych dziś nauczycieli polszczyzny niemal każdy musiał eksperymentować na własną rękę, sam korygować niedostatki swojej metody, przygotowywać pomoce dydaktyczne, bez możliwości czerpania z dorobku poprzedników — i odwrotnie: przekazania swych osiągnięć następcom. Nieefektywność takiego sposobu nabycia wiedzy metodycznej jest dziś szczególnie widoczna wobec szybkiego rozwoju metodyk nauczania innych języków europejskich. Staje się też poważnym problemem praktycznym: z każdym rokiem przybywa nowych placówek kształcenia w polszczyźnie (por. np. szkoły z wykładowym językiem polskim w NRD), następuje stała rotacja lektorów polskich za granicą, corocznie więc podejmuje pracę pokaźna liczba nowych wykładowców, niekiedy — powiedzmy sobie szczerze — bez odpowiedniego stażu i doświadczenia pedagogicznego. A przecież truizmem byłoby twierdzenie, że praca lektora na placówce zagranicznej jest „wizytówką” poziomu polonistyki krajowej, że od jego inwencji i autorytetu osobistego zależą często dalsze losy nauczania języka polskiego w danym kraju. Istnieją oczywiście środki, którymi można doraźnie poprawić sytuację: kursy kwalifikacyjne i praktyki dla lektorów, zapewnienie im konsultacji i pomocy materiałowej (skryptów, antologii itp.) krajowych ośrodków metodycznych,

takich jak „Polonicum” czy łódzkie Studium Nauczania Języka Polskiego. Na dłuższą metę trzeba znaleźć inne wyjście: mianowicie wyprowadzić z impasu metodykę nauczania polszczyzny jako dyscyplinę teoretyczną. Czy jednak istnieją już przesłanki rozwoju nowoczesnej teorii kształcenia w języku polskim? Musiałaby być ona po pierwsze ściśle skorelowana z najnowszym stanem wiedzy o strukturze polszczyzny, korzystać w jak najszerszym zakresie z tej sumy wiadomości, która się nagromadziła w monograficznych opisach poszczególnych jej podsystemów. Po drugie — metodyka polszczyzny winna wyzyskiwać praktycznie wyniki badań kontrastywnych. Po trzecie wreszcie — nie mogłaby odbiegać od najnowszych ustaleń naukowych w dziedzinie dydaktyki i metodyki ogólnej, psychologii itp., musiałaby je przystosowywać do specyficznych potrzeb nauczania języka polskiego.

Spróbujmy się zorientować, jak się przedstawiają możliwości korzystania z tych właśnie źródeł rozwoju metodyki. Najlepiej może wygląda sprawa jej bezpośrednio „bazy” teoretycznej: publikacji językoznawczych, nowoczesnych pod względem metodologicznym, dających syntetyczny opis poszczególnych podsystemów polszczyzny. Wprawdzie brak nam ciągle kompendium podstawowego: gramatyki opisowej polszczyzny, sumującej aktualny stan badań nad jej strukturą, ale brak ten w jakimś stopniu rekompensują opracowania monograficzne z poszczególnych dziedzin wiedzy o języku: fonologii (Z. Stiebera „Historyczna i współczesna fonologia języka polskiego”¹) czy morfologii („Fleksja polska” J. Tokarskiego², „Polish Declension” A. Schenkera³, „Produktywne typy słowotwórcze współczesnego języka ogólnopolskiego” H. Satkiewicz⁴). W tych zakresach wiedzy o polszczyźnie, w których brak jeszcze syntez tego rodzaju (np. w składni), można przynajmniej wskazać prace szczegółowe, których wyzyskanie praktyczno-metodyczne mogłoby zrewolucjonizować metody wykładu polszczyzny: *Główne typy struktur zdaniowych w języku polskim* K. Polańskiego⁵, *Klasyfikacja syntaktyczna czasowników polskich (na zasadzie konotacji)* Z. Gołąba⁶ czy artykuł Misza i Szupryczyńskiej⁷ zawierający rejestr schematów polskich grup syntaktycznych. Dodajmy do tego szereg cennych rozpraw poświęconych konkretnym zjawiskom gramatycznym:

¹ PWN, Warszawa 1966.

² PWN, Warszawa 1973.

³ Mouton and Co., London 1964.

⁴ Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1969.

⁵ „Zeszyty Naukowe WSP w Opolu” 1966, t. III, s. 83-100; por. także: *Pojęcie struktur wyjściowych i ich rola w składni*, „Biuletyn Fonograficzny” 1967, t. VIII, s. 95-104.

⁶ „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego” 1967, t. XXV, s. 3-44.

⁷ *Nad zagadnieniem deskryptorów dla niewspółrzędnych grup syntaktycznych dzisiejszej polszczyzny pisanej*, „Zeszyty Naukowe UMK”, *Filologia polska* IV, Toruń 1963.

systemowi trybów (Z. Topolińska⁸, J. Puzynina⁹), aspektowi (C. Piernikarski¹⁰), zaimkom (K. Pisarkowa¹¹, R. Grzegorzycykowa¹²), konstrukcjom lokatywnym (B. Klebanowska¹³, ostatnio A. Weinsberg¹⁴) itp.

Sytuacja więc w zakresie prac mogących stanowić bezpośrednią podstawę opisu struktury polszczyzny w procesie jej nauczania nie wygląda wcale najgorzej. Problem polega jednak na tym, że istnieje ogromny rozstęp między zasobem wiedzy teoretycznej o systemie polszczyzny a praktyką dydaktyczną nauczania polszczyzny jako języka obcego: bezsporne osiągnięcia językoznawstwa polonistycznego nie znajdują w niej niemal żadnego odbicia. Dla przykładu: w większości podręczników dla cudzoziemców (np. we *Fleksji* W. Cienkowskiego¹⁵), a chyba i na lektoratach — panuje niepodzielnie najbardziej tradycyjny, wywodzący się jeszcze z gramatyki Małeckiego sposób prezentacji paradygmatów fleksyjnych polszczyzny. Dotyczy to zwłaszcza fleksji czasownika, w której wyodrębnia się odwieczne „cztery koniugacje”, chociaż od dwudziestu już lat znana jest znacznie ekonomiczniejsza i konsekwentniejsza klasyfikacja polskich form werbalnych: układ grupowy Jana Tokarskiego¹⁶. Zaproponowany przez niego trójdzielny sposób analizy formy czasownikowej (*czyt-a-sz, słysz-y-sz, rąb-a-ł*) jest przydatny właśnie w nauczaniu cudzoziemców, pozwala bowiem znacznie zredukować system wdrażanych końcówek (np. czas terażniejszy, z wyjątkiem 1 os. lp., ma w tym układzie jednolity system zakończeń) i w sposób wyrazisty ukazuje zależność („wyprowadzalność”) jednych form od innych. Nie bez znaczenia jest i to, że taki opis koniugacji systematyzuje także w znacznej mierze słowotwórstwo sufiksalne czasowników odczasownikowych, ukazuje mechanizm tworzenia czasowników dokonanych, wielokrotnych, momentalnych w drodze wymiany

⁸ O kategoriach gramatycznych polskiego imperatiwu, „Język Polski”, rocz. XLVI, z. 3, s. 167-173.

⁹ „Nazwy czynności we współczesnym języku polskim. Słowotwórstwo, semantyka, składnia”, PWN, Warszawa 1969 oraz: *Jeden tryb czy dwa tryby?* „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego” 1971, t. XXIX, s. 131-140.

¹⁰ „Typy opozycji aspektowych czasownika polskiego na tle słowiańskim”, Ossolineum, Wrocław 1969.

¹¹ „Funkcje składniowe polskich zaimków odimiennych”, Ossolineum, Wrocław 1969.

¹² *Funkcje semantyczne tzw. zaimków nieokreślonych*, „Prace Filologiczne” 1972, t. XXII, s. 63-84.

¹³ B. Klebanowska: „Znaczenia lokatywne polskich przyimków właściwych”, Ossolineum, Wrocław 1971.

¹⁴ „Przyimki przestrzenne w języku polskim, niemieckim i rumuńskim”, Ossolineum, Wrocław 1973.

¹⁵ „Gramatyka polska dla cudzoziemców”, cz. II — *Fleksja*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1966.

¹⁶ „Czasowniki polskie. Formy — typy — wyjątki — słownik”, PZWS, Warszawa 1951.

„garnituru” przyrostków jednej grupy na zespół przyrostków innej (np. *czyt-a-ć, czyt-a-m — czyt-ywa-ć, czyt-u-j-ę; tup-a-ć — tup-na-ć* itp.).

Podobnie w zakresie fleksji imiennej efektywniejsza okazałaby się chyba w dydaktyce zasada opisu dwudeklinacyjnego, teoretycznie postulowana przez Tokarskiego i Schenkera, tj. ugrupowanie form lp. w deklinacji żeńskiej i nieżeńskiej, form zaś lmn. — w deklinacji bezrodzajowej. Pozwalałaby ona bowiem uniknąć niepotrzebnego wdrażania tożsamyh form pod różnymi „nagłówkami” (por. formy męskie i nijakie przymiotników). Należałoby też praktycznie wyzyskać tak wyraziście przedstawiony przez A. Schenkera synkretyzm polskich form rzeczownikowych (ich „pięcioprzypadkowość”, „czteroprzypadkowość”, „trójprzypadkowość” w liczbie pojedynczej), co znów umożliwiłoby modyfikację tradycyjnego „czternastoprzypadkowego” opisu fleksji rzeczownika. Istnieją więc realne możliwości uproszczenia sposobu prezentacji polskiej fleksji, z natury dostatecznie trudnej, a dodatkowo jeszcze (i niepotrzebnie) komplikowanej balastem przestarzałych metod klasyfikacji. Wdzięczne zadanie pośrednika między teorią językoznawczą a praktyką lektoratową mogłoby właśnie przypaść w udziale teoretycznym studiom metodycznym.

O ile upowszechnienie w dydaktyce polszczyzny nowych teorii gramatycznych wydaje się raczej kwestią czasu, o tyle „niedowład” metodyki nauczania polskiego słownictwa ma podłoże głębsze, wynika z ogólnego stanu naszej leksykologii. Prawda, że pewne jej dziedziny, np. leksykografia, rozwinęły się po wojnie imponująco. Ale osiągnięcia leksykograficzne trzydziestolecia (wielki *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego, *Słownik wyrazów bliskoznacznych* i *Słownik frazeologiczny* S. Skorupki) mogłyby być wyzyskane w praktyce nauczania języka polskiego dopiero pośrednio, przez serię słowników adaptujących do jej potrzeb ten olbrzymi materiał leksykalny. Słownik pod redakcją prof. Doroszewskiego i już istniejące słowniki frekwencyjne powinny wspólnie posłużyć za podstawę opracowania polskiego słownika-minimum (1000—1500 wyrazów) i małego słownika języka polskiego, adresowanego specjalnie do cudzoziemców (ok. 5000 wyrazów), który by zbierał słownictwo najbardziej obiegowe, neutralne stylistycznie i rzeczywiście ogólnonarodowe. Polszczyzna nie doczekała się dotychczas słownika ideograficznego, typu Dornseiffowskiego *Der deutsche Wortschatz nach Sachgruppen*, którego paląca potrzeba w nauczaniu cudzoziemców dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości. W układzie rzeczowym należałoby też prezentować obcokrajowcom polską frazeologię; próbę tego rodzaju podjął zresztą *Mały słownik frazeologiczny* T. Iglirkowskiej i H. Kurkowskiej¹⁷. Niestety, druk dalszych zeszytów tego tak pożytecznego wydawnictwa został z niezrozumiałych powodów zawieszony. Konieczne jest opracowanie słownika

¹⁷ Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Zeszyt próbny — 1963, Zeszyt I, oprac. H. Kurkowska — 1966.

walencji (łączliwości składniowej) wyrazów polskich, przydałby się słownik polskich homonimów i „modny” ostatnio typ wydawnictwa leksykograficznego: słownik trudności gramatycznych polszczyzny (formy reliktowe, nieregularne, supletywizm, paradygmaty defektywne itp.). Paralelnie do słownika synonimów leksykalnych można byłoby pomyśleć o przygotowaniu — dla potrzeb dydaktyki języka polskiego jako obcego — słownika polskich wariantów (fonetycznych, morfologicznych) i schematów równoważnych w składni. Materiał tego rodzaju gromadzi przecież obficie nowy *Słownik poprawnej polszczyzny* pod redakcją W. Doroszewskiego. W dziedzinie leksyki zatem cały szereg podstawowych zjawisk czeka dopiero na opis i systematyzację, że nie wspomnimy już o ogromnym niedostatku we współczesnej literaturze polonistycznej studiów monograficznych, poświęconych wybranym dziedzinom słownictwa (np. synonimom, wyrazom wieloznacznym itp.).

Jeszcze większa posucha panuje w zakresie badań kontrastywnych. Nie znaczy to bynajmniej, że prace tego rodzaju, stanowiące przecież prawdziwy skarb dla dydaktyki polszczyzny w strefie zasięgu danego języka (angielskiego, francuskiego itp.), w ogóle nie powstają. Na przeszkodzie ich wdrożeniu do praktyki stoi na ogół wycinkowość zawartych w nich obserwacji bądź — jeśli chodzi o wyjątkowe zresztą syntezy — intuicyjny w znacznej mierze charakter wniosków o „częstości” bądź „rzadkości” pewnych zjawisk w polszczyźnie i porównywanym z nią języku (za typowy przykład może posłużyć partia leksykalna książki B. Kielskiego „Struktura języka francuskiego i polskiego w świetle analizy porównawczej”¹⁸). W grę wchodzi także niebłaha kwestia kwalifikacji niezbędnych do przygotowania prac konfrontacyjno-metodycznych: poloniści, żywo zainteresowani sprawami metodyki wdrażania polszczyzny użytkownikom określonego języka obcego (np. lektorzy polscy za granicą), na ogół nie czują się kompetentni w dziedzinie tegoż języka; znają go przecież praktycznie, nie zajmują się jego opisem naukowym. Z podobnych chyba względów unikają podejmowania tematów z zakresu metodyki języka polskiego nasi neofilolodzy, którzy są przecież jednocześnie autorami cennych prac metodycznych dotyczących języków obcych: niemieckiego, angielskiego, francuskiego itp.; nie mają bowiem związku z praktyką nauczania polszczyzny, a więc własnych doświadczeń w tym zakresie.

Z naszych rozważań wynika, że niedostatek publikacji kontrastywno-metodycznych ma podłoże głębsze; sytuację zmieniałaby radykalnie tylko zorganizowana współpraca polonistów — praktyków nauczania języka polskiego jako obcego — i polskich neofilologów, kolektywne podejmowanie przez nich określonych badań teoretycznych i prób wdrożenia ich wyników w praktyce. W każdym razie nie należy się chyba w najbliższych latach

¹⁸ B. Kielski: „Struktura języka francuskiego i polskiego w świetle analizy porównawczej”, Ossolineum, Wrocław — Łódź 1957.

spodziewać istotniejszego wpływu badań kontrastywnych na rozwój metodyki polszczyzny jako języka obcego. Inspiracji trzeba byłoby więc szukać gdzie indziej, próbować rozwinąć na razie polonistyczną metodykę „uniwersalną”, która mogłaby być potem adaptowana do potrzeb nauczania polszczyzny na konkretnym podłożu innojęzykowym. W dziedzinie wypracowania owych metod ogólnych rolę zasadniczą mogłyby odegrać współczesne ustalenia pedagogiki i psychologii, w szczególności zaś — teorii nauczania języków obcych. Do kwestii tej powrócimy w następnym artykule.

HUBERT GÓRNOWICZ: *DIALEKT MALBORSKI, T. II—SŁOWNIK, Z. 1. A-Ó*
GDAŃSK 1973, S. XXIII+320. GDAŃSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE, PRACE
KOMISJI FILOLOGICZNEJ.

Jak widać z nagłówka, Słownik H. Górnowicza stanowi część większej pracy tego autora poświęconej dialektowi malborskiemu. Jest to szeroko zakrojona monografia. Tom I, wydany w r. 1967, prócz wiadomości wstępnych zawiera fonetykę, fleksję i składnię oraz ogólną charakterystykę opisywanego dialektu ze szczególnym uwzględnieniem jego stosunku do innych dialektów północnopolskich. Tom III obejmuje onomastykę. Opracowanie słowotwórstwa, pominięte w książce z powodu trudności wydawniczych, ogłosił autor osobno, w Rozprawach Komisji Językowej ŁTN z lat 1967-70 (t. XIII-XV), w formie czterech obszernych artykułów.

Przystępuję do omówienia Słownika, który w dalszych wywodach będę najczęściej oznaczała skrótem SM (= Słownik malborski). Już na pierwszy rzut oka robi on zdecydowanie korzystne wrażenie. Ma przejrzysty układ ogólny, zwięzły i przemyślany sposób ekspozycji materiału, bardzo dobre cytaty. Kilkadziesiąt haseł otrzymano jako ilustrację całe teksty gwarowe. Są te teksty na ogół interesujące, wydaje się jednak, że słuszniej by było w artykułach słownikowych nie wykraczać poza pojedyncze cytaty, a posiadane teksty zebrać razem, w miarę możliwości jeszcze pomnożyć i uczynić z nich osobną część monografii, cenną jako dodatkowe (w stosunku do opisu w I tomie) źródło do poznania malborskiej składni gwarowej.

Przedstawiony materiał leksykalny jest bogaty. Całość Słownika ma objąć około 8000 pojedynczych wyrazów, blisko 1700 związków wyrazowych oraz około stu przysłów i utartych porównań. Autor zaznacza przy tym: „Nie podaję tu wszystkich zapisanych wyrazów, lecz tylko takie, które — jak sądzę — mogą mieć znaczenie dla przyszłych dialektologicznych badań nad starszym i nowszym leksykalnym różnicowaniem gwar polskich. Podaję tu nazwy najważniejszych desygnatów w życiu chłopca i rzemieślnika wiejskiego. Są to inaczej wyrazy, bez których znajomości malborski chłop i rzemieślnik wiejski po prostu nie mogliby porozumiewać się w swoim środowisku w najbardziej powszechnych i typowych sytuacjach” (s. VII).

Do tego zasobu zaliczył autor zarówno wyrazy ginące, czy nawet wymarłe, których kilkanaście znalazł u J. Łęgowskiego i K. Nitscha¹, jak i najnowsze, przejęte z dialektu kulturalnego czy wprowadzone w obieg jako nazwy nowych urządzeń technicznych lub socjalnych (*radio, pralka, porodówka* ...). Weszły też do SM — na pewno słusznie — zapożyczenia z niemieckiego, a także pewne nazwy własne, nie należące do onomastyki malborskiej, ale zajmujące ważne miejsce w codziennej mowie tego regionu. „Są to nazwy najważniejszych i najbliższych krajów europejskich, nazwy najbliższych dzielnic Polski oraz nazwy narodowościowe i etniczne typu: Polak, Niemiec [...], Żydka, Kaszuba, Sztumiak itd.” (s. VIII). Pominięte natomiast zostały — ze względów praktycznych — liczebniki, z wyjątkiem tych, które pełnią też funkcję przymiotników lub przysłówków, przymiotniki z elementem liczebnikowym typu *pięćmetrowy* oraz większość przymiotników i przysłówków zaprzeczonych.

¹ Dr Nadmorski (Józef Łęgowski): *Urządzenia społeczne, zwyczaje i gwara w Malborskiem*, „Wisła”, t. III (1889), s. 714—754; K. Nitsch: *Dialekty polskie Prus Zachodnich*, cz. II — *Dialekty po prawej stronie Wisły*, Słownik, „Wybór pism polonistycznych”, t. III, Wrocław—Kraków 1954, s. 243—250, (I wyd. 1907).

O tym wszystkim *Wstęp* informuje, nie mówi natomiast, co nie weszło do Słownika spoza wymienionych kategorii formalnych. Jest jedynie przykładowa wzmianka, że pominięto nazwy części aparatów radiowych i telewizyjnych, gdyż są to wyrazy używane tylko wyjątkowo. Nie może to zastąpić pełnej informacji o kryteriach przeprowadzonej selekcji. A narzucają się pytania dość zasadnicze. Czy rzeczywiście zostały pominięte wszystkie wyrazy oznaczające rzeczy, zjawiska, stosunki wykraczające poza zakres kontaktów w obrębie ścisłego środowiska wiejskiego? A co z kontaktami z urzędem, szkołą, ewentualnymi przybyszami? Co z — najtrudniej zresztą uchwytnym — słownictwem z dziedziny życia psychicznego? A z drugiej strony: czy wyrazy do eliminacji znajdował autor tylko w obrębie części mowy nazywających, czy też w obrębie innych, może nawet wszystkich? I w końcu: ile było tego odsiewu? Bez tych wiadomości zakres owego właściwego czy podstawowego słownictwa malborskiego nie został wyraźnie określony.

Chciałoby się poprosić autora, aby te jasne dla siebie i na pewno gruntownie przemyślane sprawy przedstawił w osobnym artykule. Rzecz jest bardzo ciekawa, a oparcie się na analizie materiału wyrazowego z jednej gwary, zbieranego osobiście w ciągu kilku lat i osobiście opracowanego, nadałoby jego wypowiedzi o zakresie (czy „systemie”?) słownictwa ludowego dużą i bezsporną wartość ogólną.

Główne zasady redakcyjne SM są na ogół zbieżne z praktyką większości współczesnych słowników, a jeśli chodzi o zagadnienia właściwe tylko leksykografii gwarowej — z *Zeszytem próbnym nowego Słownika gwar polskich*², a także — z ogłoszonym przed rokiem (już po oddaniu SM do druku) *Zeszytem próbnym Słownika gwar Ostródzkiego, Warmii i Mazur*³. Sam autor często wspomina, że w wielu swoich rozwiązaniach wzoruje się na *Słowniku języka polskiego*⁴ i na SGP, i zresztą nawet trudno sobie wyobrazić, aby mogło to nie zachodzić.

Hasło jest jednowyrazowe, z wyjątkiem par czasownikowych typu *opłacać, opłacić i obejrzyć, oglądać*, które — podobnie jak w SJP — są przedstawiane we wspólnych artykułach i razem wymieniane w nagłówku. Homonimy są osobnymi hasłami. Także każdy wariant słowotwórczy, nawet tak drobny, jak *obchodzić, obochodzić i obychodzić*, jest osobnym hasłem. Gwarowe postaci słowotwórcze (np. *przesypuwać, wełnianny*) są w hasłach zachowane, podobnie — wyniki wyrównań międzykategorialnych, jak np. *wziąć* czy cała grupa bezokoliczników typu *lecić, słyszyć*, oraz upowszechnione wyniki wyrównań morfologicznych w obrębie paradygmatu, jak np. *gałęź*.

Pisownia cytatów jest fonetyczna, pisownia haseł — literacka. Postać fonetyczna haseł (w przeciwieństwie do SGP, który ma zawsze literacką, a w częściowej zgodzie z SGOWM) rozmaita: literacka — gdy w fonetyce danego wyrazu występują tylko cechy systemowe, jak np. stale notowane określone kontynuanty samogłosek nosowych, gwarowa — w wypadku „cech nietypowych, właściwych niektórym połączeniom głosek lub niektórym rodzinom etymologicznym” (s. XI). W wypadku, gdy jakiś wyraz notował autor zarówno w postaci swoistej, jak w banalnej, o postaci hasła decyduje, według przyjętej zasady (s. X), częstość występowania. Przy wyraźnej przewadze zapisów swoistych hasło ma otrzymywać postać gwarową, w sytuacji przeciwnej — literacką. (SGOWM w wypadku takiej oboczności daje zawsze hasło literackie). Rozmaitość postaci haseł nie stwarza żadnych kłopotów, gdyż dzięki konse-

² *Słownik gwar polskich, Zeszyt próbny*, opr. przez Pracownię Atlasu i Słownika Gwar Polskich Zakładu Językoznawstwa PAN w Krakowie pod red. M. Karasia, Wrocław—Warszawa—Kraków 1964. (W skrócie SGP).

³ *Słownik gwar Ostródzkiego, Warmii i Mazur, Zeszyt próbny*, cz. I — *Rzeczowniki, przymiotniki, przysłówki odprzymiotnikowe i czasowniki*, opr. pod red. Z. Stamirowskiej, H. Pałaszowej i H. Perzowej, Warszawa 1972. (W skrócie SGOWM).

⁴ *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego, t. I—XI, Warszawa 1958—1969. (W skrócie SJP).

kwentnie stosowanym odsyłaczom każdy wyraz jest równie łatwo uchwytany od strony swojej postaci ogólnopolskiej (choćby ona nawet w dialekcie malborskim nie istniała), co od strony wszystkich swoich specyficznych postaci gwarowych.

System odsyłaczy jest w SM w ogóle bardzo bogaty i bynajmniej nie ogranicza się do powiązań fonetycznych. Z odsyłaczy o charakterze formalnym są jeszcze odsyłacze od czasowników rdzennych, w razie potrzeby nawet od zrekonstruowanych, do wszystkich przedrostkowych. Prócz tego stosuje także SM (podobnie jak SGP) odsyłacze do gwarowych synonimów poszczególnych wyrazów i związków wyrazowych, a ponadto — odsyłacze od nie istniejących w dialekcie malborskim podstawowych nazw i określeń ogólnopolskich do ich malborskich odpowiedników, np. „d z i e ż a zob. kopanka”, „k a r t o n zob. papa”, „ł u s k a ć zob. dłużyć”. Bardzo to wszystko jest cenne.

Tyle o zakresie i o najogólniejszej koncepcji SM. Pora przejść do uwag nieco szczegółowszych.

Najpierw jeszcze o hasłach. Uderza, że nie ma w SM haseł szeregowych typu LIC, LICE, LICO czy BIEC, BIEGNAĆ. Nieuniknione w słownikach gwarowych o materiale różnego pochodzenia, a więc z reguły fragmentarycznym⁵, okazały się one zupełnie niepotrzebne słownikarzowi, który ma tylko materiał własny i zbierany specjalnie dla swojego dzieła. Świadczą o tym w SM osobne hasła DYSZEL i DYSZLA, OGÓREK i OGÓRKA, podane każde z własną dokumentacją i geografiją.

Wtórne formy podstawowe powstałe w wyniku wyrównań morfologicznych, póki są oboczne, nie wchodzi do hasła, są tylko wymieniane w dziale form, jak np. *chrześcijan* pod hasłem CHRZEŚCIJANIN. Tak samo jest w SGP (np. *głęb* podany jest pod GŁĄB), a inaczej i chyba lepiej w SGOWM, gdzie znajdujemy hasło podwójne DĄB, DĘB i podobne.

Co do wyrównań fonetyczno-morfologicznych brak w SM konsekwencji. Są hasła KATAFALG, OTŁÓK, AKORT — bo formy zależne i derywaty brzmią *katafalgu*, *otłoku*, *akortu* i *akortowy*, ale jest też BEZ («lilak») i CHWATKO — mimo odmiany *besu*, z *besem* i mimo comp. *chwadzi[ej]*.

Niezupełnie szczęśliwe wydaje się potraktowanie przymiotników w użyciu rzeczownikowym. Jeżeli nie nastąpił jeszcze zanik podstawowej funkcji takiego wyrazu, artykuł jest jeden (z objaśnieniem „przym. lub rzecz. o odm. przym.”) i hasło oczywiście w rodzaju męskim, zob. np. BIEDNY. Jeżeli jest już całkowita substantywizacja, pojawiają się trzy osobne hasła, np. KREWNA, KREWNY i KREWNE (jako pl. t!). Chyba lepiej by było i w tym drugim wypadku poprzestać na hasło męskim, a w dokumentacji ukazać także formy żeńskie i mieszane. Z kolei w hasłach typu BEDNARZOWA przydałaby się jakaś szersza formuła, w której by się zmieściła i główna, rzeczownikowa, funkcja wyrazu, i podane tuż obok zestawienie *bednarzowa córka*.

Część haseł przymiotnikowych żeńskich wydaje się pomyłką. CIELNA itp. to oczywiście, ale na hasła JARA czy ATOMOWA trudno by się było zgodzić, mimo że w zapisach nie widać tych przymiotników w połączeniu z rzeczownikiem męskim ani nijakim. Ale, powtarzam, to chyba pomyłka. Przemawia za tym istnienie hasła GROMNICZNY, zapisanego tylko w zestawieniu *Matka Boska Gromniczna*.

Pewne wątpliwości budzą niektóre rozstrzygnięcia, czy daną postać fonetyczną jakiegoś wyrazu należało uznać za na tyle „nietypową”⁶, aby ją wprowadzić do hasła. A więc np.: czy słuszne jest CHYŻO, skoro mówi się zawsze (w tym nie mazurem przeciw dialekcie) *chyzo*? czy słusznie FANSZON wobec wymowy *fankszon*? dlaczego jedno z nielicznych rodzimych wyrazów mających rozszerzenie artykulacji

⁵ Nieuniknione z wiadomego powodu. Są w materiale, powiedzmy, dwa warianty formy podstawowej jakiegoś wyrazu i pewna liczba form zależnych, które równie dobrze mieszczą się w obu paradygmatach. W tej sytuacji nie ma możliwości podziału materiału i stworzenia dwóch osobnych artykułów.

⁶ Por. s. 86 niniejszego zeszytu.

u przed płynnymi otrzymały w haśle ó (np. DÓRA, BECZÓŁKA), a inne (jak KUMOSZKA) nie? dlaczego przy takiej samej wymowie — *úu*- mamy hasła DIABEL, DIACHEŁ i — ORZOŁ? dlaczego z dwu różnych rezultatów — wyjątkowego — uproszczenia grupy *by*- jeden wszedł do haseł: ŁYSKAĆ SIĘ, ŁYSKAWICA, a drugi nie: BŁYSKOTKA (przy wymowie *byskotka*)? Prawdopodobnie wszystkie swoje decyzje mógłby autor uzasadnić, ale mimo to przynajmniej część z nich z pewnością pozostałaby dyskusyjna, bo jest to w tych sprawach nieuniknione. I dlatego właśnie warto było przy tym na chwilę się zatrzymać.

Inną ważną dziedzinę, która zazwyczaj przysparza słownikom wiele kłopotów, stanowią wszelkie utarte związki wyrazowe i tzw. wyrażenia przyimkowe. H. Górnowicz wydziela z tego przysłowia wraz z porównaniami typu *głodny jak chart, pijany jak szofer*, a resztę dzieli na zestawienia i frazeologię, przy czym według *Wstępu* zestawienia są to związki frazeologiczne o charakterze łączliwych lub stałych wyrażen, a frazeologia to stałe lub łączliwe zwroty i frazy oraz stałe połączenia przyimkowe. W praktyce wygląda to o tyle nieco inaczej, że połączenia przyimkowe w zależności od swojego stosunku gramatycznego do wyrazu podstawowego bądź idą jako ZEST (tak np. *za darmo* i *po darmaka*), bądź wprowadzane są nagłówkiem gramatycznym, jak np. *na bok, w bok* (i tak samo *bokiem*), które pojawiają się w artykule BOK po słowach „W funkcji przysłów”. Pod skrótem FRAZ połączeń takich nie zauważyłam. Praktyka co do innych zestawień i związków frazeologicznych nie nasuwa zasadniczych uwag poza jedną ogólną, że stanowczo za daleko idzie autor w uznawaniu za zestawienia i związki frazeologiczne łączliwych, a nieraz chyba nawet i luźnych połączeń wyrazowych. *Brzydka pogoda* jako ZEST, a *bić się w piersi, być na gimnazjum, chodzić do szkoły, zbierać jagody* jako FRAZ mogą być chyba wystarczającym tego dowodem.

Nie działoby się tak, gdyby poza formalnymi kryteriami wyodrębniania zestawień i związków frazeologicznych zdecydował się autor uwzględnić również kryteria stylistyczne i znaczeniowe. Myślę o tych paru, które przy opracowywaniu słownika wydają się niezastąpione: jednostką słownikową może być tylko związek wyrazowy zleksykalizowany, tzn. taki utarty związek, w którym znaczenie całości jest różne od sumy znaczeń składników; zestawienie to (dla leksykografa) zleksykalizowane wyrażenie, które funkcjonuje jako neutralna stylistycznie nazwa (lub termin); związek frazeologiczny to zleksykalizowane: wyrażenie (tak! np. *urodzony w niedzielę, Herod baba*), zwrot lub fraza, które są wyraźnie nacechowane stylistycznie. Niezastosowanie, z pewnością świadome, tych kryteriów doprowadziło do nadmiernego rozrostu tej warstwy SM.

W szczegółach trafiają się poza tym omyłki w zakwalifikowaniu (np. *bliski krewny* jako FRAZ zamiast — ewentualnie — jako ZEST), są także pewne niejedności w wyborze „najważniejszego elementu składowego” (s. XIX), pod którym mają być opracowywane związki frazeologiczne, ale to już są rzeczy drugorzędne, zwłaszcza wobec dobrych na ogół powiązań odsyłaczowych.

Objaśnianie znaczeń. Autor informuje, że w stosowaniu definicji oraz w układzie znaczeń (tak samo jak i w układzie związków frazeologicznych) stara się jak najczęściej wzorować na SJP. Dla badaczy słownictwa i frazeologii w skali wszystkich odmian polszczyzny okaże się to z pewnością bardzo pożyteczne, tutaj jednak, omawiając SM jako dzieło autonomiczne, świadomie w to nie wnikam.

Definicje w SM są trafne, uderzają na ogół zwięzłością i prostotą. Kilka przykładów: NARAZ 1. «nagle, nieczekiwanie», 2. «jednocześnie», LEDWO «z największą trudnością», DOBRZE 2. «pomyślnie» 3. «w należyty sposób», HAK 2. «zaczep na końcu dyszla», 4. «pogrzebacz», BREDA «człowiek opowiadający głupstwa, mówiący od rzeczy», NABARZYĆ SIĘ «nastroszyć się» — o indorze, kogucie.

Definicje mniej zręczne zdarzają się najczęściej w związku z generalną rezygnacją w SM z odwoływania się do ogólnej znajomości wyrazów, które, przynajmniej

w swojej podstawowej funkcji semantycznej, są w języku ogólnym zupełnie jednoznaczne. Np. GNIAZDO «to, co ptaki i pszczoły lepią dla wylęgu potomstwa», OKNO «otwór w ścianie ujęty w oprawę, do której jest przymocowana oszklona rama», MOKRY «zawierający w sobie płyn, wilgoć», ODPIĄĆ «rozłączyć zapiętą na guziki część garderoby». Trudności w objaśnianiu wielu takich właśnie najpospolitszych wyrazów są zupełnie zrozumiałe. Nikt by tych trudności nie umiał uniknąć, musieli się z nimi borykać autorzy wielkiego słownika dzisiejszej polszczyzny ogólnej, jakim jest SJP, ale narzuca się pytanie, czy w słowniku gwarowym, i to w sytuacji, kiedy SJP już istnieje, jest to praktyka potrzebna i opłacalna. Wydaje się, że nie — i że pod tym względem pozostanie SM raczej pouczającym eksperymentem niż wzorem do naśladowania. Warto przy tym zwrócić uwagę, że sam autor nie zdołał chyba zachować całkowitej konsekwencji, skoro zdarza mu się, co prawda wyjątkowo, powtarzać wyraz hasłowy w definicji jego jedyne lub pierwszego znaczenia. Np. KWIAT «kwiat», MŁOTEK «młotek normalnej wielkości», KSIĄŻKA 1. «książka do czytania», ba, nawet KSIĘGI «księgi krowy», choć tu właśnie trudno liczyć na ogólną znajomość rzeczy.

Mniejsza już o takie przeoczenia, jak to ostatnie, ale w skali ogólnej czy nie powinien był sobie autor rozwiązać ręk i wbrew swojemu pierwotnemu zamierzeniu (zob. *Wstęp*, s. XV) właśnie przyjąć zasadę, że ile razy ujawni w badanym dialekcie wyraz istniejący także, i pospolity, w języku ogólnym i mający w obu — siłą rzeczy porównywanych — polszczyznach: ogólnej i malborskiej, to samo znaczenie podstawowe, tylekroć będzie go objaśniać jakimś umownym, najkrótszym odsyłaczem do świadomości językowej czytelnika i zarazem — do SJP. Zapewne, praktyka taka ma swoje niebezpieczeństwa, ale na pewno nie mniej ich ma tłumaczenie wszystkiego od początku, objaśnianie rzeczy jasnych, które poza swoją uciążliwością ma tę wadę, że stwarza — jakże niepożądane! — pozory jakiegoś oderwania się przedstawianego zasobu słownego od tego, co jest wspólne i codzienne dla wszystkich czy prawie wszystkich Polaków.

Aby skończyć ze sprawą definicyj, trzeba jeszcze, z obowiązku recenzenta, wspomnieć o pewnym rodzaju potknięć trafiających się czasem w SM w definicjach czasownikowych. Polega to na tym, że definicja wyraża wprawdzie dobrze ogólny sens cytatu, ale sprzeniewierza się składniowej zgodzie z objaśnianym wyrazem. Oto przykłady: BIĆ 5. «mieć tętno»: *Słabo puls choremu bije*, NAPRÓSZYĆ SIĘ «zabrudzić się pyłem» o mleku: *W mleko się naprószyło*, BRAC, WZIAŚĆ fraz. o mdłościach «zemdleć»: *Mgłoscie mnie wzieni i ja się obaliła*.

Definicje realnoznaczeniowe i synonimiczne nie są oczywiście w SM (jak w żadnym słowniku) jedynym sposobem objaśniania wyrazów. Przysłówki odprzymiotnikowe i derywaty objaśnia się zazwyczaj przez nawiązanie do wyrazu podstawowego, przyimki, spójniki, zaimki i partykuły — przez opis ich funkcji gramatycznych, często uzupełniony definicją synonimiczną. Na ogół te gramatyczne lub gramatyczno-synonimiczne objaśnienia są u H. Górnowicza jasne i trafne i składają się na bardzo dobre ujęcie całości funkcji gramatycznych, składniowych i stylistycznych większości zaimków, spójników i partykuł. Takie na przykład artykuły jak JA, CHTÓRNY, JAK, I, LEDWIE, JUŻ można wręcz uznać za doskonałe. Uderza też swoją celnością rozróżnienie funkcji samodzielnej i niesamodzielnej, inaczej mówiąc: leksykalnej i gramatycznej, w niektórych wyrazach należących do tzw. samodzielnych części mowy, zob. np. BYĆ, GORZEJ. Zawód natomiast sprawia opracowanie niektórych przyimków: jedne, jak BEZ i OD, są nadmiernie rozdrobnione, mają nieporównywalne ujęcie poszczególnych funkcji i brak jakiegokolwiek ugrupowania poza składniowym, inne, jak DO, są pozornie przejrzyste, ale podają materiał zupełnie przemieszany, z niewielkimi tylko wyodrębnieniami jakichś raczej przypadkowych funkcji znaczeniowych. Oczywiście można też wymienić udane artykuły przyimkowe, jak chociażby NA, pewnych jednak zastrzeżeń co do tego działu nie można przemilczeć.

Doskonale są informacje gramatyczne podawane przy hasłach. Są bardzo krótkie, a jednak zupełnie wystarczające. Szczególnie uderza to przy czasownikach, np. BECZYĆ: *beczy, becą*, CHOWAĆ: *chowię, -esz*, CHRUPIĆ: *chrupi*, DOSYPUWAĆ: *-uję, -esz// // -uwam, -uwasz*. Przy zaimkach o odmianie swoistej podaje autor więcej form, często cały paradygmat, przy przymiotnikach — stopień wyższy, przy rzeczownikach o dwojakiej odmianie (jak np. BIODRO) — oboczne formy z geografią i kwalifikatorami częstościowymi. Jedyna nadwyżka ponad potrzebę, to podawanie rodzaju gramatycznego i dopełniacza przy wszystkich rzeczownikach, co najczęściej jest zupełnie zbędne.

Można także Słownikowi malborskiemu pozazdrościć informacji o geografii i częstości występowania wyrazów i znaczeń. Chciałoby się powiedzieć, że są one więcej niż pełne, bo nie tylko występują przy każdym hasle i znaczeniu, ale w wypadku wariantów wyrazowych i synonimów dostarczają dodatkowo, same przez się, danych porównawczych, co czyni SM jednocześnie jakby atlasem tego regionu (zob. np. BIAŁASY i BIAŁAWY, BIAŁEK i BIAŁTKO, DYSZEL i DYSZLA, GAJOWY, LEŚNIK i LEŚNY w zn. 2).

Pozostaje jeszcze wspomnieć o uwagach, którymi wzbogaca H. Górniewicz artykuły swojego Słownika. Są one najrozmaitsze: o zakresie stosowania jednych wyrazów — w ogóle (np. *nad, blachowy i blaszanny*), innych — w określonych funkcjach (np. *od* jako «niż» czy *cholera* w funkcji przekleństwa); o związku pewnych wariantów fleksyjnych z określonymi funkcjami znaczeniowymi (np. *to jestaj* w zn. «czyli, to znaczy»); o analogicznym tworzeniu form fleksyjnych przez wyrazy nieodmienne (np. obok *na!* «masz! bierz!» powstaje *nata!* dla dopełnienia proporcji *ma : mata = = na : nata*); o desemantyzacji (jest to próbny termin mój, autor wyraża to inaczej) *wziąć* w takim np. zdaniu: *To mu wzięno i stołek na łeb wsadziło*; o podstawie niemieckiej niektórych konstrukcji (np. *siostra od sąsiada, on jest 20 lat stary*).

Wszystko, co się dotąd powiedziało, należy podsumować, aby pewne wysunięte uwagi krytyczne nie przesłoniły ogólnej oceny książki. Da się to zrobić w paru słowach. Jest Słownik malborski dziełem o dużej i niezaprzeczalnej wartości. Bogaty materiałowo, przejrzysty i wyczerpujący, wzbogaca poważnie dorobek polskiej leksykografii gwarowej. Wzbogaca także od strony formy opracowania i — co za tym idzie — od strony wyników badawczych, jest bowiem szczęśliwą próbą poszerzenia tradycyjnego typu słownika wyrazowego o elementy słownika znaczeniowego i atlasu językowego. Zamykając książkę mającą na okładce rodło, trzeba jeszcze powiedzieć jedno. Piękna i bogata jest przechowana przez wieki germanizacji mowa sztumską. Całym swoim podstawowym zasobem tkwi w ogólnej polszczyźnie, a ma prócz tego skarby własne, którymi wzbogaca nasz język na równi z innymi dialektami.

Zofia Stamirowska

JÓZEF BUBAK: *SPISKIE TEKSTY GWAROWE Z OBSZARU POLSKI, ZNUJ CCLXXVIII, PRACE JĘZYKOZNAWCZE, Z. 36, WARSZAWA—KRAKÓW 1972.*

Mamy nową pozycję naukową, bardzo ważną w badaniach nad dialektami karpaczkimi. Autor pisze w uwagach wstępnych: „Nie ma potrzeby szerszego uzasadnienia konieczności wydania tekstów spiskich, ale chciałbym tu zwrócić uwagę na dwa momenty: pierwszy to ten, że obserwujemy ostatnio szybkie zanikanie gwary spiskiej (zresztą w ogóle gwar), drugi, że nie ma podobnej publikacji w literaturze nau-

kowej. Opublikowane do tej pory teksty spiskie są bądź niewielkie, bądź zapisane pisownią literacką, co uniemożliwia wykorzystanie ich w pełni dla celów naukowych, szczególnie dla badań fonetyki gwary spiskiej¹.

Teksty Bubaka mogą interesować nie tylko dialektologa, ale także etnografa, historyka czy socjologa. Są bardzo ciekawe, nie mają w sobie nic z suchych, szablonowych tekstów gwarowych. Jedną z ich zalet stanowi to, że zostały zebrane nie tylko od osób starszych, ale także młodych (np. m.in. od 10-letniego chłopca).

J. Bubak podaje w przypisach bibliografię publikowanych tekstów spiskich, pomijając teksty z „Gazety Podhalańskiej”, „Gazety Podhala” i kalendarza „Przyjaciół Spisza i Orawy”, na których łamach zamieszczane były spiskie i orawskie opowiadania pisane przez wykształconych górali (np. Balarów z Frydmana, Plucińskich z Jurgowa i innych).

Teksty przedstawione przez Bubaka uszeregowane są w porządku alfabetycznym według nazw wsi. Nie jest to wyjście najlepsze, ponieważ wskazuje ono na jednolitość gwary, gdy tymczasem gwara ta jest wewnątrznie zróżnicowana. Wydaje mi się, że lepszy byłby następujący układ tekstów:

1. z Czarnej Góry, Rzepisk, Jurgowa, Łapszanki (gwara Zorympcanóf)²,
2. z Nowej Białej, Kremp, Dursztyna, Kacwina,
3. z Trybsza, Łapsz Wyżnych, Łapsz Niżnych,
4. z Niedzicy, Falsztyna, Frydmana.

Takie uszeregowanie uwarunkowane jest nie tylko cechami językowymi, ale także kulturowymi. Oczywiście, wewnątrz proponowanych grup będą pewne różnice. Miejscowościami łączącymi grupy są: grupę pierwszą z drugą — Łapszanka, drugą z trzecią — Dursztyn, trzecią z czwartą — Niedzica.

W tekstach dobrze zaznaczono akcent spiski, przeważnie inicjalny, a w wyrazach izolowanych nawet wyłącznie inicjalny (w żywej mowie czasem miejsce akcentu w poszczególnych wyrazach może się zmieniać, co zależy od emocjonalnego zaangażowania narratora oraz tempa opowiadania). Prawidłowo oddano takie zjawiska, jak archaizm podhalański, zastępowanie wygłosowego χ przez k lub f , e pochylone przechodzące w y , $'y$, wyjątkowo w i , wymowa nosówek, wymowa \dot{l} . Ciekawy jest zapis głosek \dot{s} , \dot{z} , występujących w języku starszego pokolenia. Starsi ludzie mówią więc: *boček* «bocian» i «boczek», *šatka* «szatka» i «siatka». Jest to wpływ języka słowackiego.

Pewne wątpliwości nasuwa zaznaczanie w tekstach \dot{a} . Owszem czasem u ludzi starych można to \dot{a} usłyszeć, ale tylko sporadycznie. Na ogół a pochylone zidentyfikowało się już z etymologicznym o ³.

We wszystkich tekstach oznaczona została labializacja — jako charakterystyczna dla wszystkich wsi, i to zarówno w nagłosie, jak i w śródgłosie. Wydaje mi się, że jest to uproszczenie. Nie ma na przykład labializacji w Dursztynie i w Łapszach Niżnych. Jeśli się pojawi, to sporadycznie. W Dursztynie nawet wyraźnie ośmiesza się wymowę labializowaną („ta godaióm Poloći”, tzn. górale z Podhala). W pozycji zwykle labializowanej obserwujemy tu inne zjawisko, mianowicie silne zwarcie krtańowe, np. *oko*, *ucúk*, *óiiot*. W innych miejscowościach labializacja występuje, ale nie tak konsekwentnie, jak to oznaczono w tekstach.

Małe wyjaśnienie należy się też zapisom *to ci* «ci» (np. s. 12, s. 18 i nast.). Winno się pisać *toći*, analogicznie jak w języku literackim *tamci*. *Toći* to mianownik lmn. zaimka *totyn* «ten», który występuje obocznie do zaimka *tyn*. W formie *totyn* wi-

¹ J. Bubak: *Spiskie teksty gwarowe z obszaru Polski*, ZNUJ CCLXXVIII, „Prace Językoznawcze”, Warszawa — Kraków 1972, z. 36, s. 5.

² E. Pawłowski: *O gwarze łapszańskiej*, „Język Polski” 1956, rocz. XXXVI, s. 21—27.

³ Z. Sobierajski: *Atlas polskich gwar spiskich na terenie Polski i Czechosłowacji*, t. I — Poznań 1966, t. II — Poznań 1970.

doczny jest wpływ słowacki: taka postać zaimka (wobec literackiego słowackiego *tento*) panuje na Spiszu słowackim oraz w dialektach wschodniosłowackich dawnej stolicy szaryskiej.

Mimo tych drobnych nieścisłości teksty Bubaka mają znaczną wartość. Szkoda tylko, że dla porównania nie uwzględnił on tekstów z Harklowej i Dębna, które to wsie zawsze pozostawały pod silnym wpływem spiskim zarówno językowym, jak i kulturowym.

Franciszek Sowa

POŁÓW PEREŁEK

LITOŚCI!

W nrze 3 tygodnika „Kulisy” w artykule p. Cezarego Jagiełły pt. *Marzenia i rzeczywistość* znajdujemy następujące zdanie: „Więc może to, co myślimy, nie musi być słuszne, może to reakcja na nieprawidłowości, ale nie systemu, tylko jego egzekucji przez szkołę”.

Jakoś zbyt groźnie wygląda tutaj ta *egzekucja*. Prosimy o zastosowanie amnestii!

STAROŚĆ — RZECZ WZGLĘDNA...

W tymże artykule czytamy: „Mówi stare porzekadło, że w tym cały jest ambarras, żeby dwoje chciało naraz”.

Autor jest zapewne bardzo młody, skoro ten powszechnie znany dwuwiersz Boya-Żeleńskiego wydał mu się jakimś reliktem zamierzchłej epoki, jemu samemu zresztą znanym niedokładnie. Jest to, rzecz można, skromny tryumf świetnego pisarza, którego dowcipne spostrzeżenie tak rychło (po dziesięciu chyba wydaniach „Słówek”) zawędrowało pod strzechy.

Ob. Serwator

CO TO JEST MAŁCHA?

Takie pytanie znajdujemy w „Poradniku Językowym” nr 4 z r. 1973 na s. 228 w notatce A. Malanowskiej. I odpowiedź — objaśnienie: „Tak mówią, ale co to ta *małcha*, to kto tam wie; *małcha* to taki ką, gdzie wiele rzeczy może się zgubić; dać w *małchę* to dać w twarz”. Lecz ja przypuszczam, że raczej «dać w buzię», przynajmniej pierwotnie. Bo podejrzewam, że ten dziwny wyraz to po prostu pewne zniekształcenie niem. *Mäulchen*, tj. zdrobniałego *Maul* «pysk», ale w zdrobieniu «pyszczek, buzia» (i potem «buziak, całus», co jednak nam tu niepotrzebne), np. według znanego słownika Kaliny (1950 i już w wydaniu z r. 1941), ale i dawniejszych, np. niewielkiego *Enzyklopädisches Wörterbuch* W. Kohlera (Langenscheidt 1912). Rezygnuję z powoływania się na słowniki z ub. w., uważając to za niekonieczne. Jeżeli moje przypuszczenie jest słuszne, to *dać w małchę* byłoby zaczątkiem istnienia zagadkowego wyrazu i źródłem powstania innych zwrotów, bez porównania mniej jasnych, jak *udał w małchę* i *udał wszystko w małchę* ze znaczeniem już bardzo zmienionym, do tego stopnia, że się ta *małcha* niejako rozplywa w mgłę. Wydaje się oczywiste, że kierunek odwrotny zmiany znaczeniowej jest całkiem nieprawdopodobny. Jeszcze w znaczeniu «sprzedać krowę i do domu nic nie przywieźć» może przebija szcążkowo sens «przepić», «przepuścić (przez gardło)», ale już sens «schować pieniądze tak, że ich nie można znaleźć i już się ich nie znajdzie» — sens właściwy także zwrotowi *udać w małchę* — odbiegł bardzo daleko od pierwotnego, właściwego, co jest wypadkiem wcale nierzadkim w dziejach języków (przykłady chyba zbyt częste w takim piśmie jak „Poradnik Językowy”).

Tyle o stronie semantycznej, nasuwającej niewątpliwie dość znaczne trudności. Mniej ich dostrzegam w stronie fonetycznej, choć na pierwszy rzut oka laików może uderzać wielka różnica dźwiękowa pomiędzy *małcha* a *Mäulchen*. Niemieckie *au* oddawano u nas przez samo *a*: *małpa*, *rabować*, por. Słownik Brücknera i znaną monografię G. Korbuta, której nie mam w tej chwili pod ręką (może jest tam i przykład na *äu*). Dziwić może niejednego czytelnika zmiana rodzaju gramatycznego z nijakiego w niemieckim na żeński w polskim, lecz i to jest zjawiskiem dosyć częstym w dziejach języków, m.in. w historii polskiego, czego przykłady podałem w „Języku Polskim”, 1951, s. 201-202 (inne jeszcze w tymże piśmie z r. 1972, s. 148). W wypadku *małchy* — jeżeli mój wywód jest trafny, rzecz jasna — rodzaj gramatyczny zmieniono, dodając zakończenie żeńskie, niewątpliwie pod wpływem wyrazu *gęba* lub — choć się to wydaje mniej prawdopodobne z uwagi na odcień przypuszczalnie raczej ujemny — wyrazu *buzia*.

Nie mając materiałów dostatecznie starych na poparcie powyższych rozważań, uważam je za notatkę dyskusyjną, mogącą się przyczynić do ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Dyskusyjna jest ta notatka także dlatego, że Słownik Brücknera zna *małchę* w znaczeniu «torba» z w. XVI i XVII i wywodzi ją z niemieckiego (tj. ściślej śr.g.niem.) *malhe* «torba skórzana» lub też — choć z pytajnikiem — bezpośrednio z węg. *málha*, stanowiącego zapożyczenie niemieckie (według *Słownika etymologicznego węgierskiego* G. Bárcz(i)ego z r. 1941 znane ono jest już w w. XV). Mnie się to znaczenie jako punkt wyjścia wydaje mało prawdopodobne, skoro najnowszy SJP (t. IX, 1967) zna jako znaczenia dalsze tylko «torba pod oczami» i «część żołądka u zwierząt». To Niemcy mieli i mają określenie *Maultasche* (ale jednak złożone) «ogromna gęba» (według podręcznego słownika Sachsa-Villatte’a 1921: «bouche énorme, four»), a w w. XIV była też hrabina Margarete Maultasch. Nie wydaje się zresztą

niemożliwe istnienie dwu homonimów w polskim, zrazu niezależnych i nie związanych ze sobą; z czasem mogło się dokonać zmieszanie, ale to by trzeba było bliżej zbadać, czego ja się podejmować nie mogę (i tak przecież staram się polonistom dopomagać w miarę sił i możliwości, a *ultra posse nemo obligatur*, co uznają nawet prawnicy).

Co najwyżej miałbym ochotę dorzucić dla zarysowania tła ogólniejszego, że Łomża, do której to powiatu należą wchodzące w grę wsie, była w w. XVI-XVII ośrodkiem politycznym, gospodarczym, kulturalnym i religijnym Mazowsza Wschodniego według *Małej Encyklopedii Powszechnej* (1969), nie wiedząc co prawda, czy omawiana przeze mnie *małcha* sięga tak daleko wstecz jak uwzględniona przez Brücknera.

I jeszcze na zakończenie słówko *pro domo mea*, ale z zakresu etymologii, bez skoku w bok w dziedzinę historii znacznie dawniejszej. Chociaż nie jestem teratologiem, lubię badać wyrazy potworkowate, mniej lub więcej dziwaczne (por. moją notatkę o *naktajzie* w „Języku Polskim”, r. 1972, s. 377); one się jak gdyby do mnie uśmiechają, przez pół szyderczo, przez pół nęcają. Kilka(naście?) lat temu zwrócono się do mnie z prośbą o wyjaśnienie potworka dialektycznego lub — jak woła niektórzy — dialektalnego: *purylzaksien*. Wprost trudno było uwierzyć, że może być (modniej: „istnieć”, pod wpływem 4 języków obcych) coś takiego (ale nie: „takie coś”, bo to rażący germanizm). Pozwoliłem się temu zafascynować i już wkrótce wiedziałem, że ta nazwa okrycia musi być dość pokracznym zniekształceniem niem. *Bolerojäckchen*; tyle że (nie: „z tym, że”, bo to na odmianę irytujący a rozpanoszony niestety rusycyzm): 1) przestawiono *l* i *r*, co się przecież zdarzało nieraz, 2) ze ściśnionego *e* zrobiono nasze *y*, 3) *j* — wymawiane najwidoczniej *ż* według *Jackett* «żakiet» — zmieniono na *z* mazurząc i wreszcie 4) tzw. „ich-Laut” niemiecki oddano przez polskie *ś*, bardzo do niego podobne; godne zaznaczenia, że jednak pozostawiono — dość wyjątkowo — zakończenie niemieckie *-en*, dzięki czemu też stało się możliwe odgadnięcie pochodzenia. To jest bez wątpienia przykład skrajny (po)traktowania wyrazu obcego, a przytaczam go 1) aby pokazać, że czasem trzeba aż o d g a d y w a ć, z czego powstał jakiś dziwoląg językowy, i dać się ponieść intuicji (nie mistyce), wczuwając się m.in. w rytm danego wyrazu; 2) aby na tym jasno wystąpiła uderzająca pomimo pozorów bliskość *małchy* i *Mäulchen*, jeżeli mój wywód jest trafny. Może się komuś nasunąć pytanie, dlaczego w tym wypadku niem. *ch*, takie samo przecież, jak w omówionym dopiero co innym zdrobieniu, oddano przez nasze *ch*. Muszę odpowiedzieć, że nie wszyscy jednakowo dobrze słyszą i nie wszyscy też zadają sobie jednakowy trud naśladowania tego, co słyszą.

Eugeniusz Śluszkiewicz

O TZW. CZESKIM BŁĘDZIE

W przyp. 1 do mojej notatki o przezwisku *szkanderbecha* na s. 505 „Poradnika Językowego” z r. 1973 wydrukowano w nawiasie „1962” zamiast „1926”. Taką pomyłkę nazywa się dość powszechnie czeskim błędem. Zastanawiałem się nad tym określeniem i przyszło mi na myśl, czy nie nawiązuje ono do faktu, że w czeskim liczebniki od 20 w górę miewają postać typu *jedenadvacet* (itd.), nawet bodaj częstsza niż *dvacet jeden*; może to wpływ sposobu liczenia niemieckiego, co by mógł rozstrzygnąć znawca dziejów języka czeskiego. Podobno na temat tego określenia „czeski błąd” pisał kilka(naście?) lat temu tygodnik „Przekrój”, lecz ja tej notatki niestety nie znam. Jeżeli zatem nie omawiano tej nazwy nigdy jeszcze w „Poradniku Językowym”¹, może by było pożądane zapełnić tę lukę i oświecić czytelników autorytatywnie.

Eugeniusz Śluszkiewicz

¹ Nie znajduję tego u J. Tredera („70 lat Poradnika Językowego”, 1972) ani pod „błąd” na s. 152, ani na s. 157.

Zacznijmy od rubryk językowych rzadziej tu referowanych. Tak więc w kieleckim „Słowie Ludu” (emjot) redaguje felietony pt. *Mówimy poprawnie*. Jak większość autorów tego rodzaju artykułów, korzysta on z uwag nadsyłanych przez czytelników (np. w nrze 238 „SL”), nie zawsze, niestety, wdając się w szczegółowsze ich omówienie, lecz poprzestając np. na stwierdzeniu: „niektóre sformułowania [scil. czytelniczki] wydają się kontrowersyjne”. Od siebie (emjot) nie bez słuszności krytykuje nadużywanie dialektyzmów w tekstach nie mających nic wspólnego z gwarą i życiem wsi (np. *tędyk, chodźta, zróbta*), a parafrazując znane powiedzenie *jak cię widzą, tak cię piszą* przypomina nam wszystkim: *jak cię słyszą, tak cię piszą*. Racja!

W innym felietonie (nr 224 „SL”) nieco dokładniej omówiona jest forma *spaźniać się* (*opaźniać się*). Wzorując się zapewne na *Słowniku poprawnej polszczyzny* St. Szobera (znana powszechnie wersja powojenna, opracowana przez czterech wybitnych językoznawców warszawskich, por. wyd. III, Warszawa 1958, hasło *spóźniać się*, s. 595) autor uważa, że owa forma „nie budzi żadnych zastrzeżeń pod względem zgodności z systemem gramatycznym” i zestawia ją z parami takich czasowników, jak *mówić — mawiać, wrócić — wracać*, gdzie w rzeczy samej ó wymienia się w formie wielokrotnej z *a*. Jeszcze dobitniej ujął rzecz całą wspomniany Słownik: „*spaźniać się* jest logicznie i poprawnie zbudowaną formą”, a SJP tylko bardzo delikatnie złagodził bezwzględność tego orzeczenia: „forma (*spaźniać się*) razi w Warszawie, ale pod względem budowy nie można jej właściwie nic zarzucić”. Otóż pozwolę sobie zauważyć, że wszystkie tego rodzaju stwierdzenia opierają się na przesłance niezupełnie właściwej, skoro stale cytują czasowniki typu *mawiać, skracać*. Zwróćmy jednak uwagę na charakter sylaby, w której zachodzi wymiana samogłoski: *wrócić, mówić, skrócić* (nie mówiąc już o czasownikach z *o*, a nie *ó*, jak *uprosić — upraszać, ozłocić — ozłacać*). Jest to sylaba otwarta, czyli kończąca się samogłoską, w wypadku natomiast *spóźnić się* mamy sylabę rdzenną z zamkniętą. I właśnie w tego typu czasownikach wymiana *o* lub *ó* w *a* zachodzi bynajmniej nie zawsze. Mamy wprawdzie takie pary, jak *uprosić — upraszczać, umocnić — umacniać*, ale obok nich spotykamy postaci oboczne, np. *upodobnić — upodabniać* lub *upodobniać* (tę formę SJP określa co prawda jako rzadką), *uwidocznić — uwidaczniać* lub *uwidoczniać* (te formy są stanowczo równoważne) albo, co w danym wypadku ważniejsze, w ogóle bez przejścia samogłoski rdzennej w *a*, np. *unaoczniać — unaoczniać* (bo przecież nie *unaaczniać*, jak by — logicznie rzecz biorąc — powinni doradzać obrońcy formy *spaźniać*). Nie przeczę, że w języku potocznym tendencja do szerzenia się wymiany *o : a* (przy tworzeniu czasowników wielokrotnych) jest silna i przekracza nieraz granice, wytyczone przez dzisiejszą normę językową. Dotyczy to zarówno sylab otwartych, np. *zaspakajać, zadawalać* (zamiast poprawnych: *zaspokajać, zadawalać*), jak i zamkniętych, nawet jeśli chodzi o samogłoskę wtórną, powstałą z pierwotnej nosowej (znane powszechnie, ale nie zaaprobowane przez normę postaci *wyłanczać, rozłanczać* — dotworzone do jednokrotnych *wyłonczyć, rozłonczyć*, a także *urzandzać, niekiedy zaokrągląć* itp.). Ale też właśnie tego rodzaju przykłady dowodzą, że forma *spaźniać się* — doskonale mieszcząca się w grupie wyżej podanych, niezupełnie odpowiada wymogom poprawności. Zresztą niezależnie od rodzaju sylaby (zamkniętej lub otwartej) wchodzi tu jeszcze w grę sprawa *ó* (a więc fonetycznego *u*, nie zaś *o*). Pobieźny nawet rzut oka na interesujące nas czasowniki każe przypuszczać, że wymiana *ó* w *a* następuje przede wszystkim tam, gdzie owo *ó* wymienia się z *o* w wyrazach słowotwórczo pokrewnych. Nie wahamy się więc ani trochę przy formach

mawiać, wracać, ponieważ *ó* w formach jednokrotnych jest wyraźnie wymienne: *mówić — mowa, wrócić — powrotny, powroty* itp. Także rzadko zresztą spotykany, zanotowany w SJP czasownik *wymłacać* (od *wymłócić*) potwierdza to spostrzeżenie, bo *ó* w *młócić* jest niewątpliwie wymienne, por. *młocka*. Trudniejsza jest sprawa z czasownikami *skracać — skrócić*, po prostu trzeba uznać tę wymianę za wyłącznie — z dzisiejszego stanowiska — tradycyjną. Oczywiście w staropolszczyźnie było inaczej: po pierwsze tzw. pochylone *ó* nie brzmiało jak *u*, ale jak dźwięk pośredni między *o* a *u* (do XIV—XV wieku, rzecz jasna, było to po prostu długie *o*), ponadto zaś istniały wyrazy w rodzaju *krotochwila, krocica* (obok *krócica*), a więc *ó* w podstawowym przymiotniku *krótki* było bez wątpienia wymienne. Nie mówiąc już o formach w językach pokrewnych, dobrze znanych w dawnej Rzeczypospolitej, jak ukr. *korotkyj* (akcent na środkowym *o*), *korotko* (z akcentem na pierwszej sylabie), białoruskie *karotki*, ros. *korotkij*, dalej zaś czes. *krátký*, słow. *krátky*.

Co innego natomiast z *ó* całkowicie niewymiennym. Od *wyklócić się* nikt przecież nie stworzy innej formy niż *wyklócać się* (nie *wyklacać*). Gdy więc uwzględnimy dwa omówione czynniki: charakter sylaby (jej zamkniętość) oraz niewymiennosc — w dzisiejszym poczuciu językowym — *ó* w *o* i rozejrzemy się choćby pobieżnie w materiale, bez trudu dojdziemy do wniosku, że w czasownikach spełniających oba te warunki nie zachodzi wymiana samogłoski rdzennej w formach wielokrotnych. Oto przykłady: *uogólnić — uogólniać, wyszczególnić — wyszczególniać, wyróżnić — wyróżniać, opróżnić — opróżniać*. Jest rzeczą oczywistą, że *spóźnić (się)* należy do tej właśnie grupy i dlatego prawidłowa postać wielokrotna brzmi *spóźniać (się)*, a nie *spażniać (się)*; formy typu *uogalniać, wyrażniać* itp. w ogóle nie istnieją i wręcz rażą ucho. Kończąc tę dygresję należy więc zauważyć, że do słusznych stwierdzeń, iż forma *spażniać się* „razi w Warszawie” (SPP Szobera w powojennej wersji oraz SJP pod red. prof. Doroszewskiego), jest regionalizmem (SPP pod red. prof. Doroszewskiego i prof. Kurkowskiej), „budzi zastrzeżenia [...], rozpowszechniona jest głównie w Małopolsce, a w pozostałych rejonach kraju używa się jej rzadko albo nie używa się wcale” (emjot ze „Słowa Ludu”), winno się dodać: i jest zbudowana raczej nieprawidłowo, inaczej niż formy rzeczywiście analogiczne.

Zgola innego typu wątpliwości rozstrzyga Językoznawca z tygodnika „Kobieta i Życie”. W nrze 33 (z 1973 r.) tego czasopisma broni postaci *Józefowie, Janowie* (występujących obocznie do form nie budzących żadnych wahań znaczeniowych: *Józefostwo, Janostwo*), słusznie przy tym dodając, że od form zdrobniałych (*Staszek, Sławek*) tworzymy z zasady właśnie postaci na *-owie*: *Staszkowie, Sławkowie*. Nawiasem wspomnę, że Językoznawca niemal dosłownie — włącznie z przykładami *Józefowie, Staszkowie* — przytoczył tu argumentację prof. Doroszewskiego¹. Oczywiście wolno mu to uczynić i nawet warto Językoznawcę pochwalić, że zna dobrze źródła informacji i korzysta z nich, ale godziwe obyczaje nakazują w podobnych razach wyraźnie powołać się na wykorzystaną literaturę przedmiotu. Już to w ogóle przesadną ścisłością nasz felietonista nie grzeszy. Potwierdza to drugi przykład: zupełnie rozsądnie objaśniając dokonywane się stopniowo różnicowanie znaczeń *dziecinny* i *dziecięcy*, przytacza Mickiewicza w takim oto brzmieniu: „z dziecięcą pustotą pociągnął za sznurek, by stary Dąbrowskiego posłyszeć mazurek”. Niestety, skoro już dobrze się nie zapamiętało tak — zdawałoby się — znanych każdemu Polakowi wierszy z I księgi „Pana Tadeusza”, to warto było zajrzeć do tekstu i przekonać się, że nie ma tam „dziecięcej pustoty”, ale jest „dziecinna radość” (... i z dziecinną radością — nadto nie: „posłyszeć”, ale „usłyszyć”). Trochę nieprzyjemnie, że trzeba o tym

¹ W. Doroszewski: „O kulturę słowa. Poradnik językowy”, t. I, Warszawa 1962, hasło *Józefostwo — Józefowie*, s. 507. Jak widać, nawet i to imię zapożyczył od prof. W. Doroszewskiego autor felietonu w tyg. „Kobieta i Życie”.

pisać, no i że adiustator wcale dobrego tygodnika, jakim jest „Kobieta i Życie”, nie sprostował omyłki Językoznawcy, mieniącego się zapewne polonistą...

Następna z uwag, odnoszących się do rubryk językowych, to pochlebna opinia o felietonie pt. *Rzecz o języku* Jana Miodka (nr 190 wrocławskiego „Słowa Polskiego”), w całości poświęconego wyrażeniu *mieć miejsce*. Red. Miodek bezbłędnie ocenia to wyrażenie jako w zasadzie poprawne i spotykane u wybitnych nawet pisarzy (Sienkiewicz), dziś jednak stanowczo nadużywane i stające się jednym z licznych szablonów stylistycznych lub — jak woli autor *Rzeczy o języku* — „typowym wytrychem językowym”, stosowanym przez uczniów, dziennikarzy i inne osoby, dające się słuchać lub czytać w naszych publikacjach. „Atrakcyjność języka — czytamy — [...] wynika m.in. z obfitości form, np. zebranie *trwa, odbywa się, epidemia występuje, pojawia się* itd.” — tymczasem intelektualne lenistwo popycha piszącego (lub mówiącego) do „bezkrytycznego posługiwania się wciąż tym samym zwrotem: *mieć miejsce*”².

A skoro już o stale powtarzanych wyrazach i zwrotach mowa, warto jeszcze wymienić jedną z *Gawęd o języku* Jerzego Warmkiego, zatytułowaną *O natrętach językowych* (nr 188 katowickiego „Wieczoru”). Cytowane przez autora (otrzymującego zresztą, jak i jego koledzy, liczne listy od czytelników) przykłady dotyczą poszczególnych wyrazów, np. *niwelacja* (niedoborów), *zniwelować* (braki, przeszkody), *specyficzny*. Wyrazy te są nie tylko natrętne, nie tylko „niwelują” styl i zubażają słownik (zamiast *specyficzny* można powiedzieć — zależnie od określanego rzeczownika — *szczególny, charakterystyczny, wyłączny, swoisty, odrębny, wreszcie specjalny*), ale — co oczywiście podkreśla autor felietonu — bywają używane w ogóle nieodpowiednio, niezgodnie ze swoim znaczeniem. Częste to zjawisko, zwłaszcza jeśli chodzi o wyrazy obcego pochodzenia: piszący nieraz nie wie, co rzeczywiście one znaczą.

*

Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził — to porzekadło zachowuje swoją wartość nawet jeśli chodzi o tak wybitne, pożyteczne i z wielkim nakładem pracy stworzone dzieło zbiorowe, jakim jest najnowszy *Słownik poprawnej polszczyzny* pod redakcją naczelną prof. dra Witolda Doroszewskiego i jego zastępcy, prof. dr Haliny Kurkowskiej (Warszawa 1973, PWN, s. 1054+2 nlb.). Może nie warto dłużej się zatrzymywać przy wzmiankach prasowych mało że niefachowców (o słowniku poprawnościowym oczywiście ma prawo pisać nie tylko językoznawca), ale autorów traktujących swoje własne wypowiedzi chyba niezbyt poważnie, jak to uczynił red. M. Sadzewicz, o którego felietonie już była w naszej rubryce mowa³. Podobnego typu uwagi zamieścił w tygodniku łódzkim „Odgłosy” (nr 36 z ub. r., felieton *Ex libris* «Odgłosów») autor podpisujący się A. G. Znamienny jest tytuł artykułiku: *Niepoprawny słownik*. Złożywszy profesorowi W. Doroszewskiemu ćwierć ironiczny ukłon, A. G. biada, że niedawno wydany Słownik „nie jest kontynuacją pionierskiego dzieła prof. Szobera, lecz zupełnie nową i chyba dość dyskusyjną koncepcją słownika”. Żadnych argumentów A. G. nie wysuwa, powołuje się jedynie na „wnikliwą rozprawę prof. B. Wieczorkiewicza” (o której za chwilę) i gołosłownie zarzuca redagowanemu przez prof. W. Doroszewskiego dziełu „brak konsekwencji i sporo niejasności” oraz „upieranie się przy niedostosowanych w życiu [co to ma znaczyć? — A. S.] zasadach pisowni”. Nietrudno się domyślić, że chodzi o pisanie małą literą

² Nieco szerzej — w podobnym duchu — niżej podsygnowany pisał swego czasu o wyrażeniu *mieć miejsce* w tyg. „Za i przeciw” z 1959 r., nr 31, rubryka *Dbajmy o język ojczysty*, podpisywana Filolog.

³ O jego felietonie *Upiory* (nr 22 „Stolicy” z 1973 r.) czytelnik może się dowiedzieć z *Co pisać o języku?* w nrze 8 „Poradnika Językowego”, 1973.

nazw samochodów. „Reasumując — czytamy — ten poprawnościowy słownik [...] wprowadzi jeszcze więcej zamieszania w polskiej pisowni, gdzie [...] i dziś zamieszania nie brakuje”. Aż tyle ma do powiedzenia ów osobliwego autoramentu „recenzent”.

Przejdźmy do recenzji bez cudzysłowu, napisanej przez prof. Bronisława Wieczorkiewicza, a ogłoszonej w 14 nrze „Nowych Książek” (1973) — *Słownik poprawnej polszczyzny*. Recenzent zaczyna od historycznego wstępu, a więc obszernie pisze o pierwszym, przedwojennym wydaniu dzieła prof. St. Szobera (*Słownik ortoepiczny. Jak mówić i pisać po polsku*, Warszawa 1937, M. Arct) oraz o powojennych wydaniach tej pracy, pod zmienionym tytułem: *Słownik poprawnej polszczyzny*. Jak wiemy, prof. Wieczorkiewicz — obok profesorów: Doroszewskiego, Skorupki i Tokarskiego — należał do grona redakcyjnego, które unowocześniło i częściowo uzupełniło pierwotny tekst prof. Szobera. Obecnie wydany Słownik, choć zachował wymieniony wyżej tytuł, „jest opracowany — jak zgodnie z prawdą pisze prof. Wieczorkiewicz — według zupełnie nowej koncepcji” i stanowi „ambitne zamierzenie”. W drugiej części recenzji, właściwie nieco nawet krótszej niż wstęp, prof. Wieczorkiewicz zajmuje się merytoryczną oceną Słownika. Po pierwsze — uważa, że nie w pełni spełnia on postulat dzieła przeznaczonego dla „szerokiego odbiorcy”⁴, gdyż: 1) hasła są jedynie objaśniane, a nie ilustrowane cytatami, 2) niektórym objaśnieniom brak precyzji. Jeśli o ten drugi punkt chodzi, przytoczone przez recenzenta przykłady są rzeczywiście przekonujące, należałoby jednak stwierdzić, czy owe uchybienia (raczej niedokładności informacji) trafiają się często, czy może tylko sporadycznie. Krytyka objaśnienia niektórych kwalifikatorów stylistycznych jest nieco subiektywna, recenzentowi nie podoba się m.in. określenie *wiech* (miejska gwara środowiskowa, tzw. uliczna), które jednak od lat kilkunastu bywa używane w tym właśnie ogólnym znaczeniu, bez wyłącznego nawiązywania do gwary warszawskiej, utrwalonej piórem St. Wiecha-Wiecheckiego. Wraz z Wł. Kopalińskim, felietonistą „Życia Warszawy”, prof. Wieczorkiewicz gani system definicji, przyjęty w Słowniku: jedne z nich wydają mu się zbyt precyzyjne, inne zaś niepełne. Można się zgodzić z recenzentem, że pozostawienie bez żadnego komentarza rzeczowego haseł *katgut* czy *afelium* stanowi przeoczenie, choć oczywiście stale musimy pamiętać, że słownik poprawnościowy nie jest i nie powinien być encyklopedią.

Z kolei omawiane są nazwy własne. Niektóre nazwy geograficzne uważa recenzent za umieszczone przypadkowo, to samo twierdzi o obcych nazwiskach. Nie sposób przyznać mu w pełni racji, bo choćby zakwestionowane przezeń nazwisko *Nejedlý* — po pierwsze jest nazwiskiem wybitnego, znanego w Europie czeskiego historyka, krytyka i teoretyka literatury, po drugie zaś — pod względem formalnym reprezentuje dość liczną grupę podobnie zbudowanych nazwisk czeskich i słowackich (*Holý*, *Veselý* i in.). Z zarzutem zbędności podawania takich imion, jak *Katarzyna*, *Stanisław* można się zgodzić, natomiast wypada się zdziwić, że recenzent krytykuje zamieszczenie w Słowniku skrótów. Oczywiście, sprawa ich doboru może być przedmiotem dyskusji, ale jakież dzieło zdołałoby zadowolić w tym zakresie każdego krytyka? Wspomniany już przez nas felieton M. Sadzewicza prof. Wieczorkiewicz zgłosiła niesłusznie nazywa recenzją (jak wiemy, była to garść niewybrednych przycinków oraz uwag zupełnie zresztą nie na temat) i to w dodatku „zjadliwą [ten przymiotnik jest trafny — A.S.], lecz nie pozbawioną słuszności”. Ową „słuszność” recenzent widzi w krytyce zamieszczania takich haseł, jak *kurak*, *kurczak* (dla prof. Wieczorkiewicza jest to sprawa „co najmniej dyskusyjna”). Od siebie dodam, że istotnie, przy haśle

⁴ Prof. Wieczorkiewicz dwukrotnie pisze w swej recenzji o *szerokim odbiorcy*, przy czym kursywa i nawias zdają się podkreślać stylistyczną nieporadność tego określenia. Rzecz jednak w tym, że w krótkiej przedmowie *Od Wydawnictwa* nie ma w ogóle mowy o takim odbiorcy, jest natomiast zgola neutralny zwrot: „SPP PWN przeznaczony jest dla jak najszerszego kręgu odbiorców”.

kurak należało podać kwalifikator, a ten — mianowicie *reg.* — *regionalizm*, ja bym jeszcze uzupełnił *pot.* (forma potoczna) — pojawił się dopiero przy hasle *kurczak*, do którego zresztą Słownik odsyła czytelnika. Ale z drugiej strony dziwię się, że recenzent zupełnie już dziś neutralną, ogólnie używaną formę *kurczak*, nazwał gwarową.

Wreszcie, przyznając, że zagadnienie doboru haseł jest „niewątpliwie bardzo trudne”, recenzent wymienia parę przykładów haseł — jego zdaniem — zbytecznych lub, przeciwnie, opuszczonych. Powtarzam: tego typu zarzut można postawić dosłownie każdemu dziełu typu słownikowego lub encyklopedycznego.

Poczyniwszy jeszcze kilka uwag raczej marginesowych, prof. Wieczorkiewicz wydaje niezwykle surowy werdykt, niezupełnie nawet odpowiadający wadze i obfitości wysuniętych zarzutów, iż „obecne «polepszone» wydanie Słownika zasługuje na wręcz przeciwne określenie, [...] Słownik jest mało przejrzysty [tu chyba recenzent stanowczo się myli i popada w subiektywizm — A. S.], [...] może służyć filologom, będzie zaś mało przydatny lub zgoła nieprzydatny «szerokiemu odbiorcy»”.

W zakończeniu swojej — powtarzam — w wielu miejscach nazbyt subiektywnie ujętej recenzji, oczywiście zawierającej też uwagi słuszne (zwłaszcza jeśli chodzi o konkretne szczegóły), prof. Wieczorkiewicz podaje w wątpliwość zachowanie tytułu dzieła Szobera. Uwaga, że można było dać tytuł: *Nowy słownik poprawnej polszczyzny* wydaje mi się raczej sensowna, choć z drugiej strony można powiedzieć, że określenie *słownik poprawnej polszczyzny* jest niemal tak neutralne, jak np. *historia* lub *dzieje literatury polskiej*, które to określenia zatraciły cechy indywidualności autor-skiej. Tak właśnie rzecz tę zdają się ujmować wydawcy (Państwowe Wydawnictwo Naukowe), co wynika ze słów krótkiej przedmowy *Od Wydawnictwa*.

W miarę możliwości wiernie oddawszy poglądy recenzenta, wyrazić pragnę żal, że ograniczył się on do uwypuklenia stron negatywnych, całkowicie zaś pominał jakże liczne zalety Słownika, nie ocenił różnic pozytywnych, zachodzących między dziełem obecnym a jego poprzednikiem.

*

Artykuł St. Kani pt. *Lubusiana w «Słowniku poprawnej polszczyzny PWN»* (nr 16 dwutygodnika zielonogórskiego „Nadodrze”) nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu recenzją. St. Kania zwięźle charakteryzuje charakter i zawartość Słownika, wspomina o „zwięzłej rozprawce pióra prof. W. Doroszewskiego” poprzedzającej całość dzieła i przytacza słowa tegoż uczonego, zamieszczone na tzw. skrzydełku obwoluty Słownika, a zaczerpnięte z książki „Wśród słów, wrażeń i myśli. Refleksje o języku polskim”, Warszawa 1966, a odnoszące się do znaczenia i istoty pracy nad językiem. Autor podkreśla, że w Słowniku znajdziemy wiele tzw. haseł problemowych, zawierających informacje o akcencie, pisowni nazwisk, dialektach, o modzie w języku — a więc o sprawach znacznie rozszerzających potoczne pojęcie normy językowej. Słownik podaje też nazwy geograficzne i oto dr Kania wybrał i przytoczył *in extenso* (w pełnym brzmieniu) wszystkie hasła tego typu, odnoszące się do terytorium Ziemi Lubuskiej. Nazw tych (chodzi o miasta, rzeki, jednostki terenowe — ich odmianę, przymiotniki pochodne itp.) zebrało się około 40. Autor artykułu dodaje, że „przynajmniej nam, Lubuszanom, formy te nie nastroczają większych problemów poprawnościowych”, zarazem wszakże informuje, że Słownik zamieścił „w zasadzie najważniejsze lubuskie nazwy geograficzne” (co chyba oznacza, że przedmiot został wyczerpany). Końcowa uwaga, iż istnieją „nazwy mniejszych miejscowości, z którymi użytkownicy języka [czemuż takie omówienie? — chodzi po prostu o „ludzi, mieszkańców, o nas” — A. S.] mają wiele kłopotów, np. pojechałem do *Jan*, czy do *Janów?*” — zdaje się sugerować, iż Słownik podał jednak za mało informacji językowych z zakresu nazewnictwa.

Dr Kania w przypisie tylko (no i pisząc o autorze rozprawy poprzedzającej właściwy Słownik) wymienia nazwisko redaktora naczelnego, prof. W. Doroszewskiego, pomija natomiast — dziwna rzecz — wszystkich pozostałych członków redakcji. Bezstronnie dodam, że tytuł zamieszczony na czele artykułu (SPP PWN) zaczerpnięty jest z karty tytułowej omawianego dzieła.

*

W nrze 10 naszego miesięcznika z ub. r. wspominaliśmy o telefonicznej poradni językowej, uruchomionej przez opolską Wyższą Szkołę Pedagogiczną, teraz warto zanotować, że analogiczna placówka działa też we Wrocławiu. Inicjatywę wysunęła redakcja „Wieczoru Wrocławskiego”, zrealizowali ją zaś pracownicy Zakładu Języka Polskiego miejscowego Uniwersytetu. Rzecz finansuje Wydział Kultury wrocławskiej Rady Narodowej (por. wzmiankę *Wrocław — trzecie miasto ma telefoniczną poradnię językową*, nr 47 „Expressu Wieczornego”).

A.S.

Wnętrzarstwo

Ob. Józef Kwiatkowski z miejscowości Dobre pod Nieszawą (jest wieś Dobre i w pobliżu Mińska Mazowieckiego) pisze, że nie podobają mu się wyrazy *wnętrzarstwo* i *wnętrzarski*, które się spotyka w prasie. Czyta się na przykład, że „Budowane skrzydło znajduje się w stanie surowym zamkniętym, przystępuje się do prac wnętrzarskich”. — Mówiąc prywatnie, przyznaję się, że oba wymienione wyrazy nie podobają mi się również, ale jednocześnie muszę się przyznać i do tego, że pierwszym słownikiem, w którym słowa *wnętrzarstwo* i *wnętrzarski* zostały zarejestrowane jako hasła, jest nasz nowy *Słownik języka polskiego* pod moją redakcją: w poprzednich słownikach nie było tych wyrazów. Czy można nam z ich wciągnięcia do Słownika zrobić zarzut? — *Wnętrzarstwo* to w języku architektów «sztuka urządzania wnętrza». W pewnym piśmie codziennym czytamy, że najbardziej doświadczona we *wnętrzarstwie* jest Sekcja Architektoniczna Wnętrz Stowarzyszenia Architektów Polskich. W środowisku architektów termin *wnętrzarstwo* jako mający określone znaczenie jest już potrzebny, potrzeba zaś społeczna lub brak takiej potrzeby to jedno z ważnych kryteriów oceny wyrazów. Pod względem budowy słowotwórczej *wnętrzarstwo* należy do typu wyrazów dziś dość często stosowanego: mówi się nie o czyjejs twórczości artystycznej, literackiej lub malarskiej — ale o czyimś *pisarstwie*, *malarstwie*, a nawet o *wierszopisarstwie* (bez ujemnego odcienia), *podróżopisarstwie*. W naszym nowym Słowniku mamy około czterystu sześćdziesięciu słów na *-arstwo*, takich na przykład, jak *gospodarstwo*, *rzeźbiarstwo*, *pięściarstwo*, *sekciarstwo*, *pamiętnikarstwo* i wiele innych. Sytuacja jest zatem taka: architekt z tytułu swego zawodu ma do czynienia z urządzaniem wnętrza; w jego pamięci tkwią podświadomie bardzo liczne wyrazy na *-arstwo* tego typu, co wymienione przeze mnie przed chwilą, toteż gdy ma on utworzyć formę pochodną od *wnętrze*, stosuje się do żywego słowotwórczo wzoru i tworzy formę *wnętrzarstwo*, której ani korespondent, ani ja nie utworzylibyśmy samorzutnie, bo nie zajmujemy się zawodowo urządzaniem wnętrza i nie mamy okazji „mobilizowania” w związku z wnętrzami pomieszczeń formantu *-arstwo*. Rozważając zagadnienia, które mogą nam nasuwać wyrazy i formy wyrazowe, nie powinniśmy popadać w zadumę, ale zastanowienie potrzebne jest zawsze. W omawianym wypadku prowadzi ono do wniosku, że nie uzasadnione byłyby protesty przeciw używaniu przez architektów terminów *wnętrzarstwo*, *wnętrzarski*, które w pewnym sensie stały się już ich narzędziami

pracy, a które pod względem budowy nie są niepoprawne. Te same uwagi mogą się odnosić do wyrazu *wnętrzarz* — o specjaliście w zakresie urządzania wnętrza.

Przemianowanie

Grono słuchaczy (używam tradycyjnej w tym typie rzeczowników końcówki *-ów*, chociaż zakres jej użycia stopniowo się zwęża: „Biblioteka Pisarzy Polskich” byłaby dziś „Biblioteką Pisarzy”), otóż grono słuchaczy — uczniów specjalnego zakładu wychowawczego w Szczytnie informuje, że w tym mieście była ulica Dojazdowa została nazwana ulicą imienia Janusza Korczaka i w związku z tym autorzy listu wyrażają wątpliwość, czy można mówić o *przemianowaniu* ulicy, bo co innego *imię*, co innego *miano*. — Tak rzeczywiście jest: mówimy tylko: jak ci na *imię*? (albo: na *imię* było mu Jan). Szkoła albo ulica może być tylko czyjegós *imienia*. Spotyka się czasem wyrażenie: szkoła *imieniem* tego a tego, ale jest to rażący błąd, rażący tym bardziej, gdy mowa o szkole. W nazwach szkół często się opuszcza *imienia* (jak w nazwach kościołów *pod wezwaniem*), na przykład w Warszawie: szkoła Batorego, szkoła Rejtana. Wyraz *miano* ma charakter trochę urzędowy, tak samo jak wywodzący się z niego czasownik *mianować*. Nadać czemu nazwę nową, inną niż poprzednia, to *przemianować*, niezależnie od tego, czy nazwa dawna wiązała się z czymś imieniem, nazwiskiem, czy miała zwykłą formę przymiotnikową: ulica Sucha w Warszawie została *przemianowana* na Krzywickiego, Leszno na Świerczewskiego, Chmielna na Rutkowskiego. *Przemianować* to pod względem czysto formalnym «nadać nowe miano», w mowie zaś potocznej to «nadać nową nazwę». W związkach wyrazowych utrzymują się znaczenia wyrazów, których one w samodzielny użyciu nie mają: *grób* a *trumna* to są rzeczy różne, mówimy jednak „do grobowej deski”, chociaż z desek składa się trumna, nie grób.

Ksiądz — księżmi

Ob. Krystyna Łaniecka z Bydgoszczy pisze, że wśród zawodowych polonistów toczyła się dyskusja co do tego, czy należy mówić i pisać: *między księżmi* czy *między księżami*. — Jako formę właściwą umieściliśmy w nowym Słowniku poprawnej polszczyzny formę *między księżmi* z dodatkowym ostrzeżeniem: nie *księdzami* ani *księżami*. Forma *księża* była kiedyś tak samo jak na przykład *szlachta* albo *mężczyzna* formą liczby pojedynczej o znaczeniu zbiorowym, z którą mogło się łączyć orzeczenie w liczbie mnogiej: *szlachta walczą*. W Biblii Zofii (XV wiek) czytamy: „wszystka mężczyzna twoja”, co znaczy: «wszyscy mężczyźni twoi». Z czasem forma *mężczyzna* stała się rzeczownikiem rodzaju gramatycznego męskiego i zaczęła być odmieniana tak jak *starosta*: *tego mężczyzny, temu mężczyźnie*,

w liczbie mnogiej *ci mężczyźni*. Forma *księża* przetrwała pod względem formalnym bez zmiany, ale zmieniły się jej związki składniowe: mówimy dziś *księża szli*. W jednej ze swych prac ogłoszonej przeszło sto lat temu (dokładnie: w roku 1868) wielki językoznawca polski Jan Baudouin de Courtenay pisał: „mówi się teraz prawie wyłącznie: *pieniężmi, ludźmi* [dziś nie „prawie”, ale wyłącznie — moja wstawka — W.D.], *końmi* obok *koniami*, *gwoźdźmi* (lub *goźdźmi*) obok *gwoździami*, *królmi* obok *królami*, *kmiećmi* obok *kmięciami*, *kamieńmi* obok *kamieniami*, a nawet *nieprzyjaciółmi, aniołmi*; [...] *gęśłmi* obok *gęśłami*, *gęśmi* obok *gęsiami*, *postaćmi* obok *postaciami*, *falmi* obok *falami*, na przykład *stoma falmi, skrońmi* obok *skroniami* [...] nawet *szponmi* obok *szponami*”. W wielu wypadkach tych wahań ustaliła się jedna z dwóch form: najczęściej forma na *-ami*; nie mówimy dziś ani *kmiećmi*, ani *kamieńmi*, ani *postaćmi*, ani *falmi* — zwyciężyła na ogół końcówka *-ami*; mogliśmy we wspomnianym słowniku sformułować regułę jednoznacznie i takeśmy też zrobili: *księżmi*, a nie *księżami*. Trzeba dobrze znać materiał, żeby się zdobywać na kategoryczność. Obok wielu form narzędnikowych na *-ami* utrzymuje się jednak forma *końmi*, a nie *koniami*. Co tu rozstrzyga? Trudno orzec, rzecz wymagałaby zbadania.

Mleć

Następne pytanie tejże korespondentki: „*będę mielić, on mielił*” czy też „*będę mlić, on mellił*”? Ani jednym z tych pytań korespondentka, jak się to dziś przysłowiowo mówi, nie trafia w dziesiątkę: formą poprawną nie jest ani *będę mielić*, ani *będę mlić*, tylko *będę mleć* albo *będę mellił*, w trzeciej zaś osobie: *będzie mleć* albo *będzie mellił* — tak samo jak *będę pisać* albo *będę pisał*. — Przypomina mi się w tej chwili moja rozmowa z Warmiakiem spod Olsztyna, od którego chciałem się dowiedzieć, jakie ma formy koniugacyjne w jego gwarze czasownik *mleć*. Powiedziałem mu: no to jak się powie: *ja miele, a ty...?* — „no to ty musisz poczkać” — odpowiedział zapytany. Rozumiał pytanie w sensie konkretnym i taka reakcja na słowa jest naturalna. Objawem pewnego inteligenckiego zmanierowania jest nadużywanie w tekście pisanym cudzysłowu mającego akcentować dystans myślowy dzielący mówiącego od treści słów przez niego wypowiedzianych. Nonsensem jest na przykład opatrywanie cudzysłowem przymiotnika „*gołym*” w wyrażeniu *pod gołym niebem*: całe to wyrażenie jest swoistym idiomatyzmem polskim, nie ma sensu dawać do zrozumienia, że mówiący się orientuje w odcieniu znaczeniowym wyrazu *gołym* w tym kontekście. Tak używanemu cudzysłowowi — a zdarza się to często — odpowiada w żywej mowie wyrażenie *tak zwany, tak zwane*, za pomocą którego mówiący daje do zrozumienia, że nie bierze na siebie odpowiedzialności za treść słów następujących po tym wyrażeniu, czyli „asekuruje się”.

Eskalonia

Ob. Tadeusz Kardys z Kupna prosi o wyjaśnienie, co znaczy słowo *eskalonia*, umieszczone w słowniku ortograficznym, ale nie zarejestrowane w żadnym innym słowniku języka polskiego. — *Eskalonia* jest wyrazem angielskim (w pisowni angielskiej *escallonia*). Znaczy on rodzaj napoju owocowego, zaprawionego alkoholem, jak informuje, w niezbyt wyraźny zresztą sposób, *Zwięzły Słownik Oxfordzki (Concise Oxford Dictionary)*. Ostatnie dwie sylaby wyrazu *eskalonia* należy wymawiać tak jak w wyrazach *kolonia*, *monotonia*, a nie tak jak w formach *konia*, *stonia*.

„Ombudsman”

Ob. inż. Kubiатовskiemu z Warszawy dziękuję za przysłaną kartę pocztową i wycinek z pisma codziennego z uwagami dotyczącymi pewnego obcego wyrazu, o czym za chwilę. Na karcie, w jej górnym prawym rogu, tam, gdzie się zwykle nakleja znaczki pocztowe, jest fotografia prof. Zenona Klemensiewicza, który zginął w katastrofie lotniczej 2. kwietnia 1969 roku. Ujmujący jest ten wyraz pamięci o uczonym i pedagogu.

Wycinek z pisma dotyczy kwestii dosyć osobliwej, co widać już z tytułu: „Ombudsman czy komisja sejmowa?”. Czytelnik postawiony wobec takiej alternatywy, nawet jeżeli jeszcze nie wie, o co chodzi, opowie się raczej za komisją sejmową, niż za *ombudsmanem*. „Na całym świecie — tak się zaczyna wywiad — obserwuje się poszukiwania najwłaściwszej formy uregulowania stosunków między obywatelem i urzędem w razie sporu między nimi. W wielu krajach obok sądowej kontroli wprowadza się inne środki mediacji między władzą administracyjną a obywatelem. Światową karierę robi obecnie instytucja ombudsmana”. „Jak to można przetłumaczyć na język polski?” — pyta reporter i dowiaduje się, że „*ombudsman* tłumaczy się jako delegat czy pełnomocnik parlamentu, którego obowiązkiem jest kontrola przestrzegania prawa przez funkcjonariuszy państwowych. Ale pojęcie *ombudsmana* tak się już przyjęło na świecie, że proponuję w naszej rozmowie używać tej nazwy” — mówi udzielający wywiadu. To trochę dziwi. Za przejmowaniem nieco groteskowego *ombudsmana* do języka polskiego nie przemawia nic, myślę zresztą, że projekt — gdyby kto chciał go wprowadzić w życie — nie znalazłby zwolenników.

W.D.

Książka Witolda Doroszewskiego

Elementy leksykologii i semiotyki

ukazała się już w przekładzie na język angielski i rosyjski

Zarówno angielskie tłumaczenie
Iaina Taylora
- wyd. Mouton-PWN,

jak i przekład rosyjski
W. F. Konnowej
- wyd. „Progress”, Moskwa

świadczą o dobrej orientacji tłumaczy w problematyce przekładanego dzieła oraz o doskonałej znajomości języka oryginału.

Obie książki zostały wydane bardzo starannie pod względem edytorsko-graficznym.

WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA

PORADNIK JĘZYKOWY

miesięcznik

Cena prenumeraty krajowej

I półrocze zł 36.—

II półrocze zł 24.—

Instytucje państwowe, społeczne, zakłady pracy, szkoły itp. mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie w miejscowych oddziałach i delegaturach RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Prenumeratorzy indywidualni mogą wpłacać prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy lub dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa (w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty).

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest 40% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO Nr 1-6-100024.

Bieżące i archiwalne numery można nabywać lub zamawiać we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych PAN — Ossolineum — PWN, Pałac Kultury i Nauki (wysoki parter), 00-901 Warszawa, oraz w księgarniach naukowych „Domu Książki”.

Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienie, prowadzi RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Centrala kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, skr. poczt. 12.

A subscription order stating the period of time, along with the subscriber's name and address can be sent to your subscription agent or directly to Foreign Trade Enterprise Ars Polona-Ruch 00-068 Warszawa, 7 Krakowskie Przedmieście, P. O. Box 1001, POLAND.

Please send payments to the account of Ars Polona-Ruch in Bank Handlowy S.A. Warszawa 00-067, 7 Traugutta Street, POLAND.